MARJA

POWIEŚĆ UKRAIŃSKA

ANTONIEGO MALCZESKIEGO.

MARJA

POWIEŚĆ UKRAIŃSKA

PRZEZ

ANTONIEGO MALCZESKIEGO.

LIPSK:
BROCKHAUS & AVENARIUS.

1844.

RZUT OKA

NA ŻYWOT

ANTONIEGO MALCZESKIEGO.

Każda epoka w życiu narodu przyprowadza z sobą swoich ludzi, niezwyczajnych, wybranych, że tak powiémy, którzy dla oka bacznego są najwierniejszém jej przedstawieniem. Na nich-to odbijają się losy i koleje narodu; na nich odbija się piętno właściwej im epoki i jej doba. Epoka narodowa, uważana z tego stanowiska, może się porównać do nowego wiekowego dnia ludzkości, a człowiek epoki, jej wybraniec, do olbrzymiego przedmiotu, który, wydobyty z cienia świtaniem poranku, rozjaśnia się w miarę jak światło dniowe wzmaga się, i coraz większą widocznością swoją dla oka, daje najlepszą miarę postępu dnia, jest niejako jego skalą. Tacy ludzie są rzadcy, wychodzą oni z rzędu ludzi pospolitych, miara tłumu nie dla nich; wzrost ich ma w sobie coś nakształt ogromu milionów w mniej więcej wysokim stopniu: wyuczenie się podobnych ludzi jest konieczne do niemylnej zajomości żywota ich społeczeństw, zwłaszcza w epoce danej. Człowiek podobny, jest to czyn ducha narodowego, czyn opatrzności

narodowej, którego zgłębienie, jak każdego czynu opatrzności, nie tylko daje nam wyobrażenie przeszłości, ale nadto rzuca pewne światło na przyszłość, pewne światło prorocze. Do takich ludzi, ważnych dla swojego czasu, ważnych jako poprzedników nowéj przyszłości, liczymy Malczeskiego. Tym względem powodowany, pomimo ogłoszonej już po razy kilka wiadomości o Jego życiu, i szczupłego bardzo zasobu szczegółów tego życia, a co większa szczegółów nie uderzających swoją nadzwyczajnością, uważam za potrzebne dotknąć jeszcze raz tego przedmiotu. Nie pochlebiam sobie wywiązać się z tej pracy lepiéj pod każdym względem jak moi poprzednicy, zwłaszcza co się tyczy Życia Poety, gdzie niemam nic prawie nowego do powiedzenia, ale będę usiłował aby szczegóły tyczące się jego pokazały się w blasku innego jak dotąd a właściwszego im oblicza, a przez to aby ogół ich przedstawił interes poważniejszy jeszcze niż dotąd, i naukę tak czasów przeszłych jak przyszłych głębszą i godniejszą rozwagi narodowej w ważnych dzisiejszych czasach.

Sposób mój zapatrywania się na żywoty pojedynczych ludzi, tych zwłaszcza, którym instynktowe uwielbienie narodu wskazało zaszczytniejsze w świątyni narodowej pamięci miejsce, sposób mało dziś powszechny, wkłada na mnie obowiązek, położyć przedewszystkiém kilka ogólnych myśli dla porozumienia się z temi czytelnikami, którym często może wydawać się napowietrzném to wszystko co nie jest już powszedniém.

Znajomość człowieka nie zależy na powierzchownej znajomości, bądź jego czynów, bądź wydarzeń tyczących się jego życia. Mało jest ludzi, którzyby, tak opisani, mieli dla potomności większą wagę od spółczesnego im tłumu, mieli jaką wyższość nad nim. Co oni robili, to robiły tysiące; co się im przydarzyło, to było udziałem tysiąców. Żywot podobny jest tylko szkieletem życia, stroną jego że tak powiem zwierzęcą, i nie różniłby się w ogólnej swojej postawie od innych żywotów, jak szkielet ludzki ogólnie wzięty nie różni się od drugiego szkieletu ludzkiego. Nie tą drogą dochodzimy do prawdziwej znajomości człowieka; nie to pragniemy jedynie i głównie powinniśmy o nim wiedzieć. Że się urodził jak inni w miejscach, gdzie się tylu porodziło, że umarł podobnie, że walczył w bitwach gdzie tysiące walczyło, albo przepędzał wiek spokojnie jak tylu przepędzało, że doznał cierpień przypuśćmy nawet wielkich, ale pospolitych całemu rodzajowi ludzkiemu, i tak dalej; to wszystko jeszcze nie maluje nam człowieka różnego bardzo od innych, a nadewszystko, nie jest usprawiedliwieniem troskliwości o zachowanie jego pamięci. Wówczas możnaby smiało spytać dla czego nam dajecie za wzór to życie a nie inne, tego człowieka a nie innego? chyba że jego nazwisko lepiej się wam podobało: bo co nam tu podajecie, jest tak powszednie, tak pospolite, że my to wiémy bez waszej biografji: codzień taką naukę i lepszą mamy przed oczami. J mówionoby słusznie. Bo ludziom, bo potomności nie chodzi o zwłoki umarłego.

Do tego spadku nie przywięzuje ona żadnej wagi. Dziedzictwem pożądaném dla niej, godném jej, jest część żywotna umarłego, nauka żywa po nim. Potrzebuje ona do skarbca swojej mądrości, swojego życia, tego co w umarłym stanowiło prawdziwą różnicę od innych, co go wyszczególniało pomiędzy innemi, co jego czyny, jego dzieje, co cały jego byt ziemski piętnowało cechą jemu tylko właściwą, co było sprężyną jego siły, kluczem do tajemnic jego bytu. Tą cechą, tą sprężyną, tym kluczem bytu ludzkiego jest duch ludzki. Prawdziwa więc znajomość człowieka zależy na poznaniu jego ducha: a prawdziwym celem żywotopisarza, powinno być objawienie tego ducha w całej jego prawdzie, pod powłoką życia zmysłowego, czynów i wypadków zewnętrznych. Dopiéro to wtedy i podrzędne, drobne szczegóły, i okoliczności życia spólne innym choćby najpospolitsze, nabierają wagi wyłącznej. Z tej głównej prawdy wynika znowu, że życie człowieka o tyle jest ważne i godne wiadomości powszechnej, o ile było objawieniem się ducha czystszego, silniejszego, wyższego. Nie każde życie jest takie: mała nawet jest liczba ludzi, którzyby niém żyli tak widocznie i bez przerwy. Łatwiej o tych, co w pewnych chwilach, pewnemi czynami zdołali wznieść się nad ziemię, i tylko od czasu do czasu objawiali całą potęgę swojej duchowej strony. Nieraz będą to chwile niezawsze powszechnie uznanej ważności; będą to czyny nie zawsze rozgłośne, nie zawsze takie, jakie sądem chwilowego interesu przywykliśmy uważać za

wielkie: często wydadzą się one pospolitemu oku mało znaczące, drobne w swoich skutkach, nie przechodzące niby za sferę prywatnego świata, a mimo to będą rzeczywiście wielkie: jedno uniesienie się szlachetne, jeden wyraz, mogą czasem wystrzelić na świat całą siłę wewnętrzną, nieśmiertelną człowieka, mogą odkryć wyższą istotę. Przeto w życiu człowieka, chwila najwyższego podniesienia się duchem, jest czynem najważniejszym tak dla niego samego, jak dla innych. Dopiero ta chwila odkrywa nam całą wartość człowieka, jest kluczem do jego całego życia. Pod blaskiem tej chwili powinniśmy uważać dane życie, a wtedy pokaże się nam ono we właściwém świetle; wtedy możemy wyjaśnić sobie, co inaczej byłoby niepojęte, lub mogło być wytłumaczone mylnie, wtedy możemy jasno widzieć pobudki szczególnych czynów, wnosić z niejaką pewnością, co mogło być zrobione a nie zrobione; wtedy jedném słowem dobra i zła strona życia staje przed nami bez łudzących pozorów, o ile coś bez złudzenia widzieć na tym świecie wolno. —

Nie zrozumianoby mię może dostatecznie, gdybym nie powiedział jeszcze słów kilka o owem podniesieniu się duchowem. Jaka jest sfera tego podniesienia się? jaki szczyt jego? jaka skala? Nie są to dla mnie rzeczy mgliste, nieokreślone, nie powinny też być takiemi dla czytelników moich: inaczej cokolwiek zbudowałbym na tém, niemiałoby pewnej podstawy, runęłoby w gruz myśli niczém niezwiązanych, i słów marnie brzmiących, a

tém samém nieprzyniosło by żadnego użytku. Otoż sfera tego podniesienia się niemoże być nic innego tylko idea religijna, a szczytem jej najwyższym poświęcenie się w duchu religijnym dla dobra ludzi. Twierdzenie to, dla większej jego jasności i niemylności, oprzemy na prawdzie najgłębszej, najobszerniejszej, i razem najwidoczniejszej, na prawdzie w naszém przekonaniu niezaprzeczonej.

„Wszelkie stworzenie będzie podniesione do Boga“ powiada Księga prawdy objawionej, Księga Święta Chrześciaństwa. W tych kilku słowach rozwiązana jest zagadka najostateczniejszych przeznaczeń całego stworzenia, wytknięta jego droga, określone powołanie, jaśniej, krócej, wznioślej, niż w jakiejkolwiek bądź innej teoryi filozoficznej, a nadewszystko bardziej do przekonania, bo słowa te wyszły z Ducha wszystko wiedzącego i nieomylnego: w nich leży ustawa jak dla ogółu stworzenia tak dla składających go części. Jakież jej znaczenie? Oto powołanie stworzenia jest religijne, a następnie religijne jest powołanie ludzkości jako cząstki stworzenia, religijne jest powołanie każdego narodu jako cząstki ludzkości, religijne jest powołanie każdego człowieka jako cząstki narodu. Co większa, człowiek jest głównym działaczem w tém powołaniu, jako pierwiastek ludzkości, jako szczyt stworzenia widomego, jako związany przez ciało ze światem materialnym, przez ducha ze światem niewidomym. Podnosić się ku Bogu i podnosić innych, oto warunek jego bytu, oto jego powo-

łanie. W spełnieniu tego powołania jest rzeczywistość jego zasługi, w spełnieniu mniej więcej ścisłém i gorliwém miara jego wartości, w najwyższém stanowisku jego na tej drodze, skala jego duchowej siły, i zarazem skala do ocenienia jego życia. Dodam tu jako rzecz konieczną dla wielu: poświęcenie czyli ofiara nie ogranicza się na ofiarze materialnej; są także ofiary duchowe, do tych należy cześć dla idei religijnej, czyli ukorzenie się przed nią; o ile to ukorzenie się jest głębsze, o tyle poświęcenie się jest zupełniejsze, a stanowisko ducha korzącego się wyższe.

Taką to miarą powinnibyśmy zmierzyć każdego człowieka, zaczém ogólny sąd o nim wydamy; takiej to miary chcę zrobić choć słabą próbę na Malczeskim. Szczupły jest zapas, jakem to już powiedział, wiadomości, na których mogę się oprzéć w mojej pracy. Wszystkie prawie dochowane są jedynie w przedmowach poprzedzających dotychczasowe wydania Poematu naszego Poety. Są one, ile nam wiadomo, czerpane z ustnych powieści, w największej części daleko od źródeł, któreby dawały rękojmię zupełnej wiarogodności: wszakże kiedy z drugiej strony niemamy żadnego powodu wątpić o ich wartości, kiedy nie słyszeliśmy jeszcze żadnego przeciw nim zarzutu, przyjmujemy je jako niemylne.

Przeglądając ten zapas nie znajdujemy w nim, biorąc ściśle, chwil, o których mówiliśmy wyżej. Wszystko tu zamknięte w wypadkach ogólniejszych, w okresach kilkoletnich, które, wzięte powierzchownie, nie przed-

stawiły-by nam Malczeskiego za coś więcej od tylu ludzi, którzy porodzili się, żyli w wirze spółczesnych wypadków i nakoniec pomarli, bez wielkich różnic pomiędzy sobą: w niczém prawie nie dostrzegamy męża wyższego, męża naznaczonego piętnem szczególniejszego jakiegoś posłannictwa.

Co w Malczeskim było wyższe, a przezto niepostrzeżone, to dopiéro trzeba odgadywać w tém co jest wiadome; przedewszystkiém potrzeba dójrzéć ten czyn, tę chwilę, na których najwidoczniej wybiła się cecha niezaprzeczonej wyższości, gdzie najsilniejszy odblask nieziemskiego światła, gdzie zatém ognisko niewidome w największej sile wybuchnęło, i opromieniło całość życia. Tutaj wzrok mój sam z siebie pada na Jego Poema. Niezaprzeczenie najwznioślejszy-to i najjaśniejszy punkt w życiu Malczeskiego; w tym Poemacie jedyny dzisiaj klucz do głębszych tajników bytu Poety i jego istoty: na nim więc głównie oprę się i przezeń o ile możności sił moich będę starał się odświeżyć w pamięci narodu ten byt smutny i dziwny, przypomnieniem, najwięcej jak mi się zdaje, do rzeczywistości zbliżoném. Nie chodzi tu powtarzam o jałową biografią, któraby tylko zaspokoiła próżniaczą ciekawość, ale raczej o to, czy Malczeski miał wyższe jakie posłannictwo w swoim czasie, ale raczej o rozeznanie mniéj więcej trafne stanowiska, jakie powinien był zajmować, nakoniec czém się przyłożył do wielkiej budowy, która dla pracownika jego rodzaju niemoże być niczém inném tylko przyszłością; i

znowu nie chodzi mi tyle o ostateczne rozstrzygnięcie tego zadania, któremu sił odpowiednich nie czuję w sobie, jak raczej o nakierowanie na drogę w mojém przekonaniu najwłaściwszą potężniejszych odemnie, usposobieńszych do tej pracy i ułatwienie im kiedyś takowej.

Przedewszystkiém dajmy miejsce obrazowi życia z jego strony najdotykalniejszej, w rysach najogólniejszych.

Urodził się Malczeski około roku 1792 na Wołyniu. Ojcem jego był Jan Malczeski, Generał wojsk polskich, a później rossyjskich; matka jego Konstancya, urodzona z Błeszyńskich. Był to dom zamożny: Radziwiłów, Miropól, Kniahinin, Chodźcza i inne włości zostawały w jego posiadaniu; później przeszły w inne ręce, tak, że już Antoni Malczeski był dziedzicem niezmiernie szczuplejszego majątku. Wiek dziecinny przeszedł mu w Dubnie, gdzie rodzice jego osiedli, a przynajmniej najwięcej przemieszkiwali. Początkowe jego wychowanie odbyło się w domu rodzicielskim, pod kierunkiem domowych nauczycieli, w duchu cudzoziemskim, i dziś jeszcze bardzo powszechnym w zamożniejszych polskich rodzinach. W tym czasie zakwitnęła szkoła Krzemieniecka staraniem Tadeusza Czackiego, który zostawał w stosunkach przyjaźnych z domem Malczeskich. Czy dla tego powodu, czy dla innych Antoni Malczeski czerpał w Krzemieńcu dalsze nauki aż do ich zupełnego ukończenia, gdzie znakomity Matematyk Józef Czech rozwijał jego usposobienie szczególniejsze ku naukom matematycznym. Wypadki roku 1811go we-

zwały go pod chorągiew narodową. Młodzieniec już wrzący, porzucając szkoły i strony rodzinne, musiał zarazem porzucić pierwszą miłość swojego serca, Annę stryjeczną siostrę, z którą niemógł wejść w związek poważniejszy dla nieodpowiedniego podobno majątku. Wielką i pamiętną nam wojnę odbył pod dowództwem Maleckiego, (Malleta) jako oficer inżenieryi. Zdolności jego wydawały się w wojskowym nawet zawodzie; są zapewnienia że pisał projekt ogłoszony drukiem, nowego umocnienia twierdzy Modlina. Po nieszczęśliwym dla Polaków zakończeniu wojny, Antoni uległ także zmienności jej losów i wszedł do wojskowego orszaku Cesarza Aleksandra, zkąd go wypchnął dziwny wypadek dopiéro w roku 1816. To go wyrzuciło całkiem ze sfery życia publicznego, z wiru wypadków powszechniejszych, a postawiło niejako na drodze indywidualnej, z jedyną pomocą sił osobistych i z przeznaczeniem, zdaje się, aby szukał innej drogi dla wszystkich, gdyż dotychczasowe okazały się niedostateczne, a razem aby dopiéro w tym zawodzie objawił prawdziwą swoję wartość. Ówczesne położenie jego musiało być trudne. Dwudziestokilko letni młodzieniec, znajdował się właśnie w tym wieku, gdzie siła moralna jakkolwiek wielka, musi wytrzymywać zewsząd przeciwne sobie napady. Szczęśliwy, kto potrafi oprzéć się na podstawie domowego życia. Malczeski nie znalazł jej; okoliczności nie są nam wiadome; ale niemało zapewne przyczyniły się już to

ogólne położenie owczesne jego ojczyzny, już to wypadek dotyczący właściwie jego samego, a który musiał być stanowczy dla niego w owej chwili: Anna, jego pokrewna, oddała komu innemu swoję rękę: zerwany więc został jeden z najmocniejszych węzłów, które mogły go były trzymać w kolei cichszego i porządniejszego życia. Bądź co bądź widzimy go w krótce, zdala od rodzinnej ziemi, podróżującego po zachodzie Europy, pod niebem włoskiém, w ognisku i zgiełku Europy nad Sekwaną, na najwyższym szczycie Alpów. Wieść niesie że i w tej porze umysł jego owocował: w ówczesnych dziennikach francuzkich mają być rozprawy jego dotyczące przedmiotu Chemji. Nam wiadomy tylko list jego do Professora Pikteta w Genewie, opisujący podróż na Mont-Blanc — o czém na swojém miejscu obszerniéj powiemy. Tu zamieścimy wszakże jako szczegół niecałkiem obojętny, że pewien biegły rysownik, niewiadomy z nazwiska, zdjął wtedy pod przewodnictwem Malczeskiego widoki Góry-Białej i Sterty południowej (Aiguille du Midi). Po kilku latach dobrowolnej tułaczki śród obcych krajów, około roku 1821, Malczeski jest z powrotem w Warszawie, a w krótce na Wołyniu. Można łatwo domyśléć się że sposób życia, jaki dotąd prowadził, nie sprzyjał pomnożeniu się jego majątku, owszem uszczuplił go znacznie: bez wątpienia, dla tej to głównie przyczyny osiadł on na ustroniu w powiecie Włodzimiérskim, jako dzierzawca wioski zwanej Chrynów. Ale nie troska go-

spodarki zaprzątała Malczeskiego: tworzył on Maryę. Oprócz prac poetycznych znalazł on jeszcze inne zatrudnienie, dotyczące wyłącznie serca. W sąsiedztwie jego mieszkał Ruciński, gospodarz, urzędnik, jednem słowem człowiek, jakiemu podobnych nietrudno znaleść: żonie jego, czy przez wrodzone usposobienie, czy przez krzywe wychowanie sprowadzające z dobrej drogi tyle Polek na fałszywy tor francuzkiej romansowości, nie wystarczały słodycze domowego życia, obowiązki żony i matki: cierpiała niewiémy dobrze czy zarówno fizycznie iak moralnie. Malczeski był stronnikiem magnetyzmu, i postanowił za pomocą tego środka przywrócić zdrowie swojej sąsiadce. Według powieści, wstęp do tego leczenia miał być dziwny, a podobno i do piérwszych stosunków pomiędzy chorą a lekarzem. Słaba leżała we śnie magnetycznym, kiedy Malczeski wszedł do jej pokoju: Mój Anioł, mój Anioł wszedł! zawołała uśpiona. W tém wykrzyknieniu była przyszłość obojga. Nie chcemy rozstrzygać, czy Malczeski został dobrym lub złym jej Aniołem; to pewna że miłostki pomiędzy niemi objawiły się niebawem i bez żadnej tajemnicy: dom Rucińskiego został mieszkaniem Malczeskiego. Témczasem stan jego pogorszał się pod każdym względem: majątek upadał przez zaniedbanie, zaród słabości, która go później o śmierć przyprawiła, począł objawiać się już w dolegliwościach ciała, nakoniec nieprawe stosunki serdeczne, słodkie w piérwszém upojeniu, z wytrzeźwianiem się dalszém dały uczuć swoją cierpkość. Mal-

czeski sądził, że mu ulży nagłe zerwanie; potajemnie, jak mówią, opuścił Wołyń i udał się do Warszawy: ale nie w jego było już mocy wyjść z kolei, na którą płochość go wprowadziła: musiał kielich winy do dna wychylić. Na drodze do Warszawy znalazła go opuszczona kochanka, i nie dopuściła już nowego rozłączenia się. Zgorszenie powołane było z zakątka kraju, aby się okazało na scenie obszerniejszej, w stolicy. Odtąd byli razem w Warszawie. Czy to trwało aż do śmierci Malczeskiego? zapewnić niemożemy: tém chętniej odsuwamy od siebie ten obowiązek, że i bez tego ciężaru ostatnie czasy pobytu jego w Warszawie, były ciągłem pasmem niepowodzeń, wypadków niemiłych, niedostatku i cierpień fizycznych. Stary sługa zabrał mu kilkanaście tysięcy złotych, które składały ostatni jego zapas i umknął: jakkolwiek przyjął to zdarzenie z umysłem wyższego człowieka, z uśmiechem, ciężar jednak życia mocniej dał się przez to uczuć: wydane w tym czasie Poema Jego wywołało najniedorzeczniejsze krytyki: niedostatek zmusił go zostać jedynie na łasce poczciwego Burgrabiego w domu, gdzie mieszkał, aż wszystko zakończyła bolesna śmierć z raka we wnętrznościach, 2. Maja 1826. roku. — Polska, pełna dziś jego imienia, ani postrzegła jak to światło zgasło; i możnaż ją winować za to? kiedy dzienniki Warszawskie zaledwie między sobą znalazły jeden organ do obwieszczenia tego wypadku i to jeszcze w sposób następujący: Obecni tu przyjaciele S. P. W. J. Pana

Antoniego Malczeskiego wczoraj oddali mu ostatnią chrześciańską przysługę, znajdując się przy pochowaniu Jego zwłok na smętarzu Powązkowskim (Kuryer Warszawski z 5. Maja 1826). Oto jedyny nagrobek, który mu dotąd położono, na dziennikarskim świstku. Kto wie, czy potomność sprawiedliwsza będzie miała szczęście wynaleść jego kości, i wywdzięczyć się swojemu Poecie godniejszym ślachetności narodowej pomnikiem? Już w roku 1830^{m} kilku młodych pisarzy, powziąwszy zamiar, upadły później dla ważniejszych wypadków, okazania swojej czci jednemu z ojców nowej poezyi, przez położenie mu kamienia z prostym napisem: „Autorowi Maryi", nie wiedzieli miejsca jego grobu, i nie spodziewali się dojść tej tajemnicy bez znalezienia pomocy między małą liczbą osób, które towarzyszyły pogrzebnemu orszakowi Malczeskiego. Tajemniczość, która zapewne nie jest bez głębszej przyczyny, pokrywa tak dalece życie Malczeskiego, a zwłaszcza ostatki jego, że wieści nie zgadzają się nawet na rodzaj jego śmierci: są twierdzenia, jakoby trucizna przyspieszyła koniec jego cierpieniom, i w tém jeszcze wahanie się, czy dobrowolnie z własnej ręki lub z obcej, mimowiedzy zażyta. Nie jestem dziś w stanie rozstrzygnąć tej wątpliwości, jak względem tylu innych szczegółów jego życia, z resztą nie chodzi mi głównie o to. Jedynym moim zamiarem było zebrać i przechować wszystko cokolwiek i jakkolwiek znalazłem o Malczeskim: pracę ostatecznego sprawdzenia i potwierdzenia prawdy zostawiam czasowi.

Obraz Malczeskiego skréślany dotąd, aczkolwiek w rysach dorywczych, maluje go nam głównie ze strony materjalnej; chciałbym dopełnić ten obraz przypomnieniem jego fizyonomji osobistej, ale i tutaj brak dokładnych wiadomości stoi na zawadzie. Portrety zapowiedziane przez dotychczasowych wydawców Jego Poematu nie ukazały się jeszcze; jedyny, jaki widzieliśmy w jedném piśmie Lwowskiém, jest fałszywy, wiémy o tém z pewnością, bo wiémy, kogo rzeczywiście przedstawia. Nie pozostaje mi przeto, tylko zastąpić ten brak w Biografji Malczeskiego, jakokolwiek, ogólném zapamiętaniem jego powierzchowności. W tym względzie tyle tylko wiémy z jednozgodnych wieści, że miał postawę szlachetną, pięknie zbudowaną, a całą twarz niepospolitego wyrazu i wdzięku. Piętno tej wyższości wrodzonej i nabytej, tego wdzięku, widoczne było w jego rozmowach, w jego całém obejściu się światowém. Nie dziw przeto że, wychowany obyczajem francuzkim, grał głośną rolę na salonach, dał się uwieść duchowi płochości, nieodstępnej od podobnego wychowania, i szacowne dary swej duszy marnował w zepsutej sferze towarzystwa wyższém zwanego. Co rozwinięte i zachowane w rodzimej swojej czystości mogło było postawić go daleko wyżéj, na drodze pożyteczniejszej i widniejszej sród spółczesnych i potomnych, to mu przyniosło nie jedną szkodę. Ztąd zamknięcie się w pasożytném świecie salonów, który wyciska nie sok cytryny dla soku, a skórkę odrzuca, ale roztrwania naj-

droższą treść wyższych istot dla pobawienia się ich skórką; bo i czémże nagrodził go ten świat, na który wylał nierządnie najpiękniejsze może natchnienia swojej duszy? Oto nie troska się nawet o pamięć jego. Ztąd wyniknęły ważniejsze jeszcze błędy, owe miłostki bezwzględne, które mogą mieć swoję wartość w chorowitej poezyi, ale są bez usprawiedliwienia w obliczu społeczności zdrowej, i przed sądem religijnej moralności będą zawsze do win policzone. Mimowolnie dotknąłem tej strony błędów Malczeskiego. Niemam potrzeby zapuszczać się w nią głębiej. Dostatecznie wydaje się ona sama przez się w nagiém opowiadaniu jego życia. Usposobienie także wielkiej części dzisiejszych naszych czytelników uwalnia mię od tak niemiłego trudu. W rzeczy samej nie potrzebujemy już dzisiaj przekonywać, że wielkość Bajrona, że poezya Bajrona nie jest w jego miłostkach awanturniczych, w jego błędach, wadach, ale zupełnie na przeciwnej stronie; że te wady, te błędy mogą się przydać poecie jako nauka, jako ostrzeżenie, ale nie powinny się uważać jako wzór do naśladowania, jako skazówki zawodu poetyckiego, jako źródło natchnienia, lub siła podnosząca w sferę wyższej poezyi. Sądzę więc, że, co przestało być niebespieczne w Bajronie, zostanie bez obrazy dla narodu w życiu Malczeskiego. Dla tego chętnie zwrócę się w stronę przeciwną, w stronę zalet. Pod tym względem wchodzą głównie w liczbę piękne przymioty, znakomite zdolności, szczęśliwe usposobienia wrodzone, a obok

tego ich rozwinienie, ich objawienie w życiu. Nie jedno świadectwo tego wszystkiego znajdujemy w życiu Malczeskiego, o ile je znamy; w szczegółach nawet życia, które uważamy za podrzędne, przebija się wyższość jego ducha. O jego zdolnościach umysłowych, o usposobieniu naukowém, napomknąłem już kilkokrotnie, i przestanę na tém; są to wyniosłości, które nikną przed jego wysokością poetycką. Zachowując dla niej ostatnie moje słowa, zatrzymam się chwilę przy jego uczuciach, przy jego przymiotach, które sie objawiły w czynach bądź publicznych, bądź prywatnych.

Fizyonomia człowieka, czyli to, co go odróżnia od innych ludzi bądź fizycznie, bądź moralnie, nie zależy na mnogości rysów, które ją tworzą. Kilka rysów, jeden rys nawet, stanowią najczęściej tę różnicę, są treścią całej fizyonomji. I w nakreśleniu moralnej fizyonomji Malczeskiego nie będę uganiał się za nagromadzeniem odcieni, dosyć mi na kilku barwach wybitniejszych. Wydobędę je z ważniejszych chwil jego życia. Muszę dać pierwszeństwo szlachetnemu zapałowi, który go pchnął w szeregi narodowe. Nie umniejsza to bynajmniej wartości czynu, że w spełnieniu tego czynu Malczeski dopełnił tylko powinności swojej, powinności milionów, że dopełnił jej tak jak tysiące dopełniło; okoliczność ta podnosząc wszystkich nie poniża nikogo, a raczej nie zamienia się na powszedniość w pojedynczym. Malczeski mógł był uchylić się od niej, i w taki sposób, że może niewzięto by mu tego za złe; mógł był pójść

drogą innych powinności, jak tylu robiło i robi, czy z zupełném zadowoleniem sumienia? tego niewiémy, ale z dostateczném złudzeniem opinji. Położenie towarzyskie jego rodziny tyle mu dróg otwiérało; zdolności umysłowe nastręczały mu tyle zawodów mniéj niebezpiecznych, mniéj korzystnych sprawie narodu, mniéj zgodnych z duchem zapału panującego na ówczas, ale błyszczących pozorami: nareszcie Malczeski był Poetą. Ale Malczeski był jednym z tych poetów, którzy nie uważają skarbu rymów danego sobie od Boga, za jedyną monetę wypłacenia się ze swoich długów względem kraju. W tej chwili zwrócił on ducha poezyi, który go ożywiał, ku stronie czynów. Za dni Malczeskiego coż mogło być poetyczniejszem od życia w obozie narodowym? Malczeski dla zgiełków i trudów wojennych zrobił ofiarę z dumań i marzeń poetycznych w wygodném zaciszu domowém. I otrzymał nagrodę za chwilowe poświęcenie tego, co było bez wątpienia najszacowniejsze w jego duszy. Skarb jego zamiast zmniejszyć się, podrósł. Siła czynu zespoliła się z siłą poezyi, i ztąd poszedł płód, który go włączył do chóru młodych poetów, do świata nowych wyobrażeń. Mam to za rzecz najpewniejszą. Wziąwszy na uwagę czas, w którym się Malczeski urodził; szkołę, której duch młodością jego kierował, drugą szkołę, która w owym czasie przewodniczyła literaturze narodowej, towarzystwo, śród którego rzucił go los urodzenia, a później nałóg trzymał: wziąwszy to wszystko na uwagę,

Malczeski powinien był zostać w sferze rymotworców zwanych klasycznemi: są nawet wyraźne ślady tych kajdan na innych jego poezyach. Coż go mogło z nich wyzwolić? Oto poświęcenie poezyi słów dla poezyi czynów. Tym jednym krokiem wyszedł on ze starego świata literackiego, i wszedł w nową przyszłość, i zajaśniał w niej prędzej nad innych, bo utworzył dzieło, w którém skupił najwyraźniej, najporządniej wszystko, co się już wówczas około niego po za literaturą przeszłości objawiać zaczęło; które można śmiało nazwać, jeżeli nie doskonałym utworem późniejszej przyszłości, to piérwszém częściowém uchyleniem jej zasłon, piérwszym przedmiotem, na którym spoczął jej promień zaranny. Niemała to nauka dla jego następców po duchu poetyckim. Poezya nie jest główny cel w życiu człowieka i narodu, ale środek. Ten tylko, kto ją tak będzie uważał, kto potrafi czasem poświęcić ją jako środek dla środka wyższego, ten tylko otrzyma pełność jej daru i godnie go użyje. Niemała to nauka dla wszystkich, którzy mając cokolwiek bądź do poświęcenia, zdobędą się na poświęcenie całkowite dla obecnej chwili bez żadnego oglądania się na swoję przyszłość. Kto do tego nie zdolny, ten nie znajdzie nigdy właściwego czasu dla spełnienia swoich powinności, dla tego każdy wypadek będzie za mały lub za wielki, żaden nie pociągnie go do spółdziałania z innemi. Z tych wszystkich powodów widzimy na wojskowym zawodzie Malczeskiego, uważanym bez względu na mniejsze lub wię-

ksze odznaczenie się w nim, piętno wyższego podniesienia się a silniejszego zapomnienia o sobie, które go wyosobnia w rzędzie jego spółtowarzyszy, i wiąże ten szczegół jego życia z całością życia, mającą na sobie cechę wyższego powołania.

Nieobojętne także w tém życiu zajmuje miejsce, podróż Malczeskiego na szczyt Góry Białej (Mont-Blanc). Od czasów uczonego Saussura, który pierwszy przetorował ścieżkę po dziewiczych przepaściach tego olbrzyma Alpów, Malczeski był ósmym z kolei podróżnikiem na drogach, gdzie nie jeden przed nim i po nim śmierć znalazł. Wiadome są niebespieczeństwa i trudności tej podróży; sam Malczeski daje o nich wyobrażenie, aczkolwiek ogólne, ale dobitne, już to w pismie swojóm do Pikteta, już w przypisie do Maryi. Wszakże nawiasowo tylko dotykamy tych okoliczności: wszystkie one malują tylko człowieka z odwagą i wytrwałością, które jednak same przez się nie byłyby w stanie podnieść całe życie do szczególnej wysokości: te same przymioty ma każdy przewodnik Góry Białej. Ale taka podróż w życiu takiego człowieka jak Malczeski, jest jednym z tych szczegółów, które, odbijając blask całości, podnoszą go do wyższego stopnia, jest jednėm z lic brylantowanego kamienia. Urok Poety otacza naszego wędrowca w czarodziejskiej sferze szczytu Góry Białej, wysokość ducha jego zdaje się nam widomie objawiać w tém wzniesieniu się materyalném nad ziemię. Nie próżniacza i jałowa ciekawość, pędzi go i towarzyszy

jemu w podobnej wycieczce; nie zmysłową roskoszą ogromnego widoku, nie same tylko oko napawa Malczeski; w całym tym czynie leżą szlachetniejsze uciechy, czystsze wzruszenia, głębsze tajemnice ducha, i uroczystszy stosunek pewnej chwili z losami całego bytu. Nie możemy odmówić tu miejsca jedynej pamiątce, jaka nam została z tej podróży od samego podróżnika, jakkolwiek nie może ona zaspokoić wszystkich naszych żądań, bo ducha Malczeskiego na najwyższym szczycie Europy trzeba szukać w Jego Poemacie: mimo to umieszczamy dosłownie własny list Jego, pełen interesu pod wielu względami. Pisany on jest do Professora Pikteta w Genewie, a ogłoszony był w dzienniku Bibliothèque Universelle, bezimiennie na wyraźne żądanie Malczeskiego.

List do Professora Pikteta o zwiedzeniu jednej z gór niedaleko Szamuni (Chamouni) zwanej stertą południową (L'Aiguille du Midi) i Góry-Białej (Mont-Blanc).

Genewa, w Sierpniu roku 1818.

Chcesz mieć WPan opis mojej podróży do Szamuni; ożywiony miłością swego kraju, i śledząc gorliwie wszystko, co tylko może być pożytecznėm dla ludzi, ciekawy jesteś szczegółów mojej drogi: ponieważ sądzisz, że i drobne nawet rzeczy interesować niekiedy mogą, powinienem więc zadość uczynić woli Jego i wziąć się do pisania w języku, który nie jest moim rodowitym.

Dziwiłem się jak wszyscy wyniosłym górom i roskosznym dolinom ojczyzny WPana, lecz brzegi Genewskiego Jeziora nadewszystko mi się podobały; przypatrywałem się ztamtąd lodowatym wierzchołkom gór Szamuńskich, i ubolewałem, gdym przy zachodzie słońca niemógł już ich widzieć, lub gdy obłoki skrywały ich wierzchołki przed moim wzrokiem; nakoniec podczas pięknego wieczora w lipcu, tak mnie wspaniały widok Góry Białej zachwycił, żem postanowił przypatrzéć się jej z bliska. Nie będę opisywał WPanu podróży mojej z Genewy do Szamuni, sama tylko Góra-Biała zajmowała moją uwagę i pałałem niecierpliwością wstąpienia na jej wierzchołek. W Salenches, gdziem pierwszą noc przepędził, chciałem zaciągnąć wiadomości, lecz mi je dano w sposób bardzo niepochlebny mojemu zamiarowi; wystawiano mi nieskończone trudności, powiadano o ogromnych rozpadlinach, które się niewiadomo jakim potworzyły sposobem, wreszcie że niepodobna już było zbliżyć się do Góry-Białej, i śmiano się, gdym powiedział że chcę wejść na jej wierzchołek. Nazajutrz nowe nieszczęście, niebo sie zachmurzyło, i powiadano mi o deszczu w ten sposób, jakoby mnie z honorem miał wyprowadzić z tak niebespiecznego przedsięwzięcia. Przybyłem więc do Szamuni z niewielką nadzieją osiągnienia celu mojej podróży, lecz przewodnicy umniejszyli mi natychmiast wyobrażenia o tych straszliwych rozpadlinach. Poszliśmy nieco po lodach, lecz w krótce powiedziano mi o górze Stertą południową zwa-

nej, na której nikt jeszcze nie był. Chodziło więc o odkrycie nowej pomiędzy górami doliny, a przynajmniéj nowego przechodu; zapomniałem już o Górze-Białej, a cały pałałem chęcią zwiedzenia tej Sterty. Nie chciałem jednak porzucić dla niej góry, która niejako jest wszystkich innych Królową, i dla pogodzenia mych chęci, zamierzyłem daleko rozciąglejszą drogę, to jest przybywszy na Stertę południową, szukać ztamtąd przejścia na Górę-Białą, a z niej zwyczajną powrócić drogą.

Poszedłem ku Stercie-południowej w towarzystwie sześciu przewodników. Przebywszy wąwóz Montanvert i Morze lodowe (mer de glace), przyszliśmy do Tacul o godzinie siódmej wieczorem. Wiesz WPan, że ten nocleg nie jest bardzo wygodny: są to skały otoczone lodami, w bliskości niewielkiego jeziora, które na noc znika. Zimno było dość wielkie: ciepłomiérz Réaumura stał na 1 stopniu pod zero. Nazbierano rośliny Rhododendron, która jeszcze rośnie na tych skałach, a naniecony wielki ogień w krótce ogrzał i rozweselił naszą gromadkę. Po wieczerzy śmieliśmy się i rozmawiali; powiadano mi wiele dziwnych rzeczy o tych górach; nakoniec przewodnicy moi układli się spać około ogniska, a mnie dano wygodniejsze miejsce na jednym, mniéj niż inne ostrym i chropawym kamieniu. Znajdowaliśmy się pod ogromnym urwiskiem skały, która wisiała nad nami, a z najmniejszym powiewem wiatru dym okrywał nam twarze; to widowisko było dla mnie tak nowe, żem niemógł spokojnie zostawać na miejscu; wdrapałem się na

bryłę kamienia niedaleko ztamtąd leżącą. Księżyc oświecał te pełne skał i lodów pustynie, ale nic oka zabawić, ani umysłu zaspokoić nie mogło; ludzie śpiący na około gasnącego już ognia, zdawali się być przychodniami do krainy śmierci, gdzie uledz mieli nieodzownemu losowi, którym wiszące nad głową bryły lodu i śniegu groziły. Zimno nakoniec spędziło mnie z miejsca, z któregom się przypatrywał. Obudzili się ze snu przewodnicy, naniecono znowu ognia i resztę nocy spędziliśmy na rozmowie. O godzinie czwartej rano, gotowaliśmy się w dalszą drogę. Ciężkomiérz, który wieczorem pokazywał 22 cale i 3 linie, rano spadł nieco; ciepłomiérz stał na 4 stopniu Réaumura pod 0, dla bezpieczeństwa powiązaliśmy się jedni do drugich powrozami i poszliśmy dalej. Szliśmy naprzód brzegiem jeziora, które było znikło, widzieliśmy bowiem tylko nagie kamienie, które składały jego łożysko, i przebywszy rozpadliny będące na drodze do góry Col-du-Géant, weszliśmy na płaszczyznę stworzoną ze śniegu. Tam naradzaliśmy się, którą drogą pójść nam należało: były przed nami trzy lodowate stérty, które nas na Stertę-południową wyprowadzić mogły. Sterta po prawéj stronie będąca zdawała się bardzo urwista i rospadlin pełna, udaliśmy się więc na drugą, której pochyłość podnosiła się dosyć powoli, a umysł mój wyobrażeniami pięknych dolin, któreśmy znaleść mieli, był całkiem zajęty. Lecz same tylko natrafialiśmy przepaści. Znużeni wielkim trudem i przebywszy dość znaczne niebez-

pieczeństwa, ujrzeliśmy nakoniec Stertę-południową, i o godzinie czwartej po południu weszliśmy na jej wierzchołek. Góra ta ze strony Szamuni przedstawia dwie skały, przedzielone bryłą ziemi okrytą śniegiem. Weszliśmy na niższą z tych skał, i nawet na bryłę okrytą śniegiem, albowiem druga skała jest niedostępna i podzielona na wiele ostrych wierzchołków: poznaliśmy nakoniec, że stąd żadną miarą na Górę-białą dostać się nie można. Widok z tej skały jest bardzo rozległy: widać tu przez grzbiet góry Col-du-Géant wielką część Lombardyi, i te piękne Włochy, które dając się widzieć z poza wierzchołków gór lodem pokrytych, zdawały się przypominać roskoszne elizejskie pola, które imaginacya starożytna za smutnemi widziała grobami. Ponieważ bespiecznie aż na zachodnim kraju tej skały stanąć można było, postrzegliśmy stamtąd przeorstwo Szamuńskie; lecz obłok część doliny przed nami zakrywał. Że zaś barometr uległ przypadkowi, nie mogliśmy czynić żadnych postrzeżeń, i zaraz o powrocie poczęliśmy zamyślać. Było już późno, a koniecznie było potrzeba powrócić na noc do Tacul, ponieważ byliśmy przemokli, znużeni, i nie tak dobrze odziani, żebyśmy noc na śniegu przepędzić mogli. Spuszczając się na powrót ominęliśmy przykre przeprawy, które nas tyle kosztowały znoju, i wcale inną udaliśmy się stroną, idąc brzegiem stert, lodem pokrytych, które nas przedzielały od Góry-Białej, a o godzinie dziesiątej dostaliśmy się na nasze ko

chane skały. Tam zaniechałem wszelkich uwag i powróciłem szczęśliwie do Szamuni.

Oto więc podróż moja prawie skończona, bo co się tyczy Góry-Białej, o której mam mówić, droga moja była prawie taż sama, którą niegdyś przebywał Pan de Saussure. W towarzystwie 11stu przewodników poszedłem przez górę La Côte zwaną; nocowaliśmy na skałach Grands Mulets, a nazajutrz 4° Sierpnia, o godzinie pół do piérwszej wstąpiliśmy na wierzchołek. Barometr stał na 15 cali i 9 linii a ciepłomiérz 3 stopnie (R.) pod zero pokazywał. Pogoda była piękna. Ciekawym będąc, czyli żywość kolorów nie traciła nic w tak wielkiej wysokości, wziąłem był z sobą pryzma. Kazałem w Genewie odmalować jak najdokładniej kolory pryzmatu, lecz żadnej w nich nie postrzegłem różnicy, żywość kolorów była jednostajna. Zostawaliśmy półtory godziny na wierzchołku góry, z której widok był zachwycający i wyższy nad pojęcie. Świéżość drzew i dolin, śliczne zakręty jeziora mogą przyjemnie zajmować oczy i umysł: ale zostając pośródku tego nieporządnego gór tłumu, tych brył olbrzymich i niekształtnych, które z pośród śniegu i lodów widzieć się dają, patrzący mniema się być swiadkiem stworzenia rzeczy, kiedy wszystko, co tylko ma cechę człowieka, znika; zaledwie dają się postrzegać lekkie miast ślady, które ręka przeznaczenia oznacza do wzniesienia na przyszłość, wszystko zdaje się zapowiadać tę wielką godzinę, i przerażony tą myślą wędrownik, skwapliwie schodzi na dół, żeby w ogromie wiel-

kich przemian, które dziać się mają, pochłonionym nie został. Opuściliśmy więc ten jedyny w świecie widok, i około godziny szóstej wieczorem przybyliśmy do skał Grands Mulets. Radość, którą nas pomyślny skutek wyprawy napełniał, wszystkiemu przyjemną i czarującą nadawała postać, a wejście na Górę Białą zdawało się być igraszką w porównaniu do smutnych i straszliwych przepraw na Stertę-południową. Nazajutrz pyszni z powodzenia naszego, zeszliśmy na dolinę Szamuni. Znalazłem tam przyjaciela WPana Kapitana Bazylego Hall, pisarza bardzo ciekawej do Chin podróży, która niedawno na świat wyszła; ubolewał on bardzo, że nie był w naszém towarzystwie; ponieważ chciał także odwiedzić Górę-białą, i wymienił mi wiele ważnych postrzeżeń, które tam czynić zamierzał.

Otóż opisanie podróży przez WPana żądane. Ciekawość i pochlebna chęć dokonania tych rzeczy, których codzień dopełnić niemożna, zaprowadziła mię na Wasze góry. Przyjemna ich pamięć, równie jak i zaszczyt poznania się z WPanem, do którego one powodem były, na zawsze mi w umyśle wyrytą zostanie.

Ten list, przy wszystkich swoich zaletach, wzięty oderwanie od ogółu wyobrażeń, uczuć i czynów Malczeskiego, oderwanie od ich źródła, jednem słowem od jego ducha, przeczytany z powierzchowną ciekawością, jest w prawdzie ciekawy, ale nic więcej, tylko ciekawy. Najwybitniejszy w nim ton na pozór jest ton wrażeń

zmysłowych; z resztą uniesienie nad pięknym widokiem, kilka uwag naukowych, kilka wiadomości potrzebnych ciekawym wędrowcom, oto co zdaje się panować w tym liście. I w rzeczy samej Malczeski pisał tylko dla uczonego, dla zaspokojenia ciekawości uczonej; odpowiedział na wyzwanie częścią wyzwaną, objawił się nią najwyraźniej. Ale my na tém przestać niemożemy, my nie powinniśmy sądzić z tych pozorów. Wnikając głębiej w duch pisma, wnikając weń duchem naszym, odkryjemy pod powłoką opowiadania prostego i jakby od niechcenia, w samém opowiadaniu zniewalający wdzięk tej prostoty, a w treści wzniosłość uczucia wyższą od śmiałości czynu, głębszą, jak widome dno nieba nad miejscem czynu, odkryjemy wzniosłość i głębokość uniesienia religijnego; i to w kilku myślach, w kilku słowach, ale w tych kilku myślach i słowach odzywa się melodja najpiękniejszych chwil Malczeskiego i rozlewa swój urok tajemniczy na resztę pisma.

Pozostaje nam na koniec poetycka strona Malczeskiego. Jest to podstawa jego życia, do której inne okoliczności wchodzą jedynie jako podrzędne przydatki i ozdoby. Tu najwidoczniej i w najwłaściwszém świetle objawił się wzniosły duch Malczeskiego, tu trafiamy na chwilę owego podniesienia ducha, które w pewnych czasach, stawia pewnych ludzi na wysokości ducha narodowego, jak gwiazdy w narodowej żegludze do przyszłości półtajemniczej. Zaczém przyjdziemy do Jego Poematu najcelniejszego a razem jedynego, jaki nam

dziś jest wiadomy, spomnimy nawiasowo o innych pracach. Wszystkie prawie są dotąd w ukryciu, zkąd wieść wydobyła zaledwie ich napisy. Jedne z nich mają być pisane przed Maryą, jako to: listy na wzór listów Krasickiego w połowie rymowane i nierymowane; Satyra: Karnawał Warszawski, nakoniec parę aktów niedokończonej tragedyi, pod napisem Helena, która ma być na podobieństwo Barbary Felińskiego, i dorównywa jej podobno ze strony, która niegdyś była wszystkiém w Poezyi: z napisanych po Maryi przytaczają tylko powieść, której główną osobą ma być Samuel Zborowski, ale o wartości której niedano nam żadnego wyobrażenia. W jedném z wydań Lwowskich Maryi zamieszczono kilka powiastek prozą i ulotnych wierszy, wyjętych z czasowych pism pod rokiem 1820 i 1821. Te podlegają sądowi powszechnemu, i niczém nie ściągają na siebie uwagi. Nie pozostaje więc jak Poema: Marya, w którém Malczeskiego jako Poetę widzieć i ocenić możemy. Poema to wyszło po raz piérwszy w roku 1825 za życia jeszcze Autora na kilka miesięcy przed jego śmiercią. Rzucone na świat z obojętnością malującą wyższego człowieka, jako bezwarunkowa ofiara z ducha w jego części najpiękniejszej, doznała też jej losu, pochwycona, jako pastwa, z całą zajadłością przez ton panujący w ówczesnej krytyce literackiej. Ale zarazem jako czysta ofiara wydała zbawienny swój owoc. Przy niéj to po raz piérwszy można powiedzieć odezwał się już potężnie głos budzący literaturę do wej-

ścia w nową kolej, i który nietylko że odtąd nie zamilkł, ale wzmagając się coraz bardziej zabrzmiał po wszystkich tajniach przyszłości narodowej, aż w końcu wywołał odpowiedź jej echa, głośną na świat cały. Krótkie było chociaż zażarte pastwienie się nad Maryą. Przeciwnicy jej prędko i na zawsze umilkli, a same tylko uwielbienie pozostało, i ciągle wzrasta. Wszakże zaledwie dopiero w roku 1833 zdobyto się na powtórne jej wydanie; a dwa na raz jednoczesne wydania zdawały się chcieć wynagrodzić tę zwłokę; wtedy to przy jedném z nich ukazała się po raz pierwszy Wiadomość biograficzna, która odsłoniła narodowi, chociaż w części, tajemnice dotyczące bytu ulubionego mu pisarza. W krótce rozgłos jego utworu sięgnął dalej, po za granice Polski. Wytłumaczono Maryę na język francuzki i wydano w Paryżu obok z Zamkiem Kaniowskim pod napisem: Les Ukrainiennes przez Pannę Clémence Robert: wytłumaczono także po niemiecku; czy wydano tłumaczenie? powiedzieć nie umiem *). Pomnażały się także powtarzania polskich wydań, tak, że dzisiaj możemy ich naliczyć do pięciu lub sześciu. Mała to zapewne liczba, kiedy ją postawimy obok ruchu w innych literaturach, ale zważywszy z drugiej strony, że wszystko to jest dziełem opieki publicznej nad sierotą, której nikt nie broni, za którą nikt

*) Pan Purkinje w Wrocławiu przełożył Maryę na język czeski. Przyp. Wydawcy.

się nie zastawia, nad sierotą bez rodziny, że tak powiemy, zważywszy to, powtarzam, musimy widzieć w tém zjawisku i serdeczną troskliwość narodu i wartość Poety, który umiał zasłużyć na nią i potrafi utrzymywać się przy prawie do niej. Nie tu miejsce wchodzić w usprawiedliwienie tego obojga przez obszerny rozbiór strony artystowskiej Poematu Malczeskiego. Nie tuszę sobie, abym coś nowego powiedział w tym przedmiocie, a jeszcze trudniej abym powiedział coś lepszego tam, gdzie najlepsi nasi krytycy zdanie swoje wyłożyli: Mochnacki, Grabowski, Bielowski i inni wszechstronnie i na korzyść Autora ocenili Maryę. Najważniejsza jednak jej strona jak w każdym czasie, tak szczególniej dzisiaj dla nas, dojrzana została i odkryta z katedry Sławiańskiej w Paryżu. Stanowisko tego sądu wyższe jest od wszystkich dotychczasowych stanowisk; jest to stanowisko narodowe nie w formie, nie w sztuce, ale w duchu, stanowisko dające rzut oka na całe plemię Sławiańskie i na całą epokę, jedném słowem stanowisko religijne. Nie przez ufność we własnych siłach, ale przez cześć dla prawdy przyjąłem je za swoje. One jedynie samo godne jest dzisiejszego czasu, z niego tylko Malczeski może być osądzony dzisiaj, jak osądzony być powinien, z niego tylko potrafimy ujrzeć fizyonomię jego w rzeczywistém świetle i w prawdziwej wysokości jego ducha: w niém to nakoniec, i w niém jedynie można znaleść miarę wszelkiego natchnienia poety, podniesienia się poety od sfer najniższych aż do najwyższej, a przez

to oznaczyć rzeczywiste jego stanowisko w swoim czasie i rzeczywistą rolę w powołaniu narodowém. W istocie przedmiot Poematu, osnowanie wypadków, prowadzenie ich, rozwiązanie pełno prostoty, prawdy, interesu i głębokości, krajobraz ukraiński schwycony mistrzowskim pęzlem, liryka marzeń, uczuć, czarująca urokiem wzniosłości, głębokości, smutku, cały koloryt, i każdy rys pojedynczy wykończony ze śmiałością i siłą wyższego natchnienia, wszystko to jest piękne, cudne, ale podrzędne w poemacie; jest to nic innego tylko forma, tylko strój myśli żywotnej; rzeczą zaś główną jest owa właśnie myśl żywotna, — idea religijna: piérwsze zalety są tylko barwą narodowości, ale idea główna jest samą narodowością. Odkrycie jej w całym toku Poematu nietrudne; widzimy ją wszędzie w charakterach, w rozmowach działających osób, w serdecznych dźwiękach, ile razy Poeta samego siebie wyśpiewywa; widzimy blask jej w całej atmosferze Poematu. Ale głębszego wniknienia potrzeba, aby ocenić, w jakiej mierze wzięto owe światło, gdyż to dopiero objawia stopień siły i czystości nadziemskiej w natchnieniu, a razem oznacza stosunek Poety do tego, co jest najważniejsze w życiu narodu, do jego przyszłości. Biorąc pod tym względem ideę religijną Malczeskiego, musimy przysądzić mu jedno z najwyższych stanowisk w swoim czasie. Nie odsłonił on nam wyraźnie przyszłości narodowej, ale wydał ze swoich piersi tajemniczy dzwięk przeczucia o niej; potrafił wyjść ze swojego czasu, na-

wrócić się ku staropolskiej religijności, przyjąć jej chrzest, i z poddaniem się pójść w przyszłość; stanął on przez to w Myśli polskiej jako pośrednie ogniwo pomiędzy przeszłością i przyszłością, ze wszystkiemi nawet cechami poezyi spółczesnej, bo w istocie poezya Malczeskiego jest to Bajroński pomrok świtający tym religijnym blaskiem, który w krótkich nocach letnich zléwa zachód wczorajszy ze wschodem jutrzejszym. Blasku tego nie widzimy przez ciąg życia Malczeskiego nigdzie wyraźniej i w takiej sile jak w Jego Poemacie. Jest to więc największa, najświętsza jego chwila, której promienie padają na całe jego życie, i dla której Malczeski nie przejdzie jako osoba pospolita w dziejach ojczystych, co już mu zaręczył instynkt narodowy, a czemu my dzisiaj składamy tylko słaby hołd naszego osobistego świadectwa, zaczém właściwsi sędzie, we właściwszym czasie, obszerniéj i lepiéj tę rzecz wyjaśnią. Błogosławiąc mojém życzeniem tej pracy pozwolę sobie raz jeszcze rzucić okiem wstecz, i objąć w najogólniejszém spojrzeniu całość życia Poety naszego. Był to mąż czystego i wzniosłego ducha. Upadki jego były może nazbyt liczne i ciężkie, może nie rozwinął zupełnie całej siły wewnętrznej, jakiej miał zarodek, może nie wzniósł się nigdy do potęgi, do jakiej mógł i powinien był wznieść się, ale już w tém co objawił, widać raczej ułomność ciała jak ducha, która nie potrafiła sprowadzić go całkiem z drogi powołania wyższego, ani zagasić jego piętna, ani go wyrwać z pod tajemniczej

opieki wyższych istot. Czyż nie potwierdza naszego mniemania ten urok takiej miłości, rozlany po jego Poemacie, porywający wszystkie serca sposobem nieodpartym, a która z duchowego tylko źródła wypłynąć może, a która, i to także pewna, przemieszkiwa tylko w duchu, gdzie dno jest czyste? Przebaczono mu wiele, bo kochał wiele. Sądzę za właściwe przytoczyć jeszcze w tém miejscu świadectwo innego rodzaju, jedno z wydarzeń jego życia. Wspomnieliśmy już wyżej, że Malczeski po nieszczęśliwym końcu ostatniej wyprawy Napoleona, przeszedł ze służby polskiej do orszaku Cesarza Aleksandra. Zdarza się, że w chwili wolnej od powinności swojego stanu, znajduje się razem z jednym z najlepszych i najpoufalszych przyjaciół. Oba wypoczywali leżąc w tymże samym pokoju, śród rozmów, jakie między przyjaciółmi toczyć się zwykły: nieznacznie wesoła rozmowa zamienia się w spór, który dochodzi w końcu do tego stopnia, że niedawni przyjaciele stają naprzeciw siebie do pojedynku, gdzie Malczeski odnosi ciężką ranę w nogę od strzału. Ta rana była powodem, że opuścił służbę niepolską, i już do niej nie wrócił. W prawdzie jest to jedno z owych zdarzeń, które przechodzą niepostrzeżone, przymierzone jednak do całości życia pokażą się nie bez znaczenia.

Niemożemy właściwiej zakończyć tego pisma, jak zapisaniem jeszcze jednego szczegółu, mało komu dotąd wiadomego. Malczeski zostawił syna z pobocznego łoża; ten potomek Malczeskiego nazwiskiem Jakubowski

mając udział w ostatnich walkach narodu, podzielił także losy jego części powołanej do cierpienia po za krajem, i zamieszkał w Ameryce. Jakkolwiek bardzo jeszcze młody, zapowiedział w sobie niepowszednie zdolności poetyckie: mieliśmy tego poświadczenie w kilku wierszach ogłoszonych przez pewien dziennik: mały ten utwór pełen był głębokiego smutku i szczerego, ale smutniejsze jeszcze było przeczucie, które w duszy obudzał, jakoż w samej rzeczy młodzieniec tak pięknej nadziei już dzisiaj nie żyje: kilka tylko bolesnych śpiewów pozostało nam z niego. Może kiedyś naród ujrzy je obok zagrzebanych dotąd w ukryciu Poezyi Malczeskiego.

Pisano w Paryżu.
Marzec. Rok 1843.

Seweryn Goszczyński.

MARJA

POWIEŚĆ UKRAIŃSKA.

Do jaśnie wielmożnego

Juliana Niemcewicza.

Dawno już niedoznana pociecha ożywia serce moje w chwili, w której mi wolno, przypisując wpanu tę powieść, publicznie wyrazić uwielbienie dla jego charakteru i tej, niezmordowanej życiem, świetnej wyobraźni a pełnej wdzięków erudycii, jakich nie przestajecie używać na wzbogacanie literatury polskiej w coraz nowe i tak szacowne dzieła. Nie dziw, że mnie to bardzo pochlebia iż mi pozwalacie ozdobić karty moje waszem imieniem; kiedy dusza każdego rodaka lubi się karmić słodyczą waszego pióra, i nie tylko mój umysł rad się przegląda w biegu czystym i użytecznym waszego życia: więcej powiem — i nikt mnie o przesadę nie oskarzy —

imię wasze jest dla młodych Polaków noszonym przy sercu zabytkiem, bośmy się o waszej sławie jeszcze od naszych ojców dowiedzieli, a wy czarownym sposobem przypominacie się ciągle naszej wdzięczności. Nie znajdziecie w moich wierszach tego powabu, który swoim nadawać umiecie; tęskne i jednostajne jak nasze pola, i jak mój umysł, ciemną tylko farbą zakryślą wam niewykończone obrazy: ale jeśli ten hołd słaby oddany waszej zasłudze wznieci w was jakie miłe uczucie, już ja wtedy hojnie zapłacony będę za moje posępne malowidło, kiedy się choć chwilę zastanowicie, jakto ziomkowie wysoko cenić umieją wasze przymioty i prace.

Jaśnie wielmożnego wpana

najniższy sługa

Malczeski.

PIEŚŃ I.

Wszystko się dziwnie plecie
Na tym tu biednym świecie;
A ktoby chciał rozumem wszystkiego dochodzić,
I zginie, a nie będzie umiał w to ugodzić.

Jan Kochanowski.

I.

Ej! ty na szybkim koniu gdzie pędzisz kozacze?
Czyś zaoczył zająca, co na stepie skacze?
Czy rozigrawszy myśli, chcesz użyć swobody,
I z wiatrem ukraińskim puścić się w zawody?
Lub może do swej lubej, co czeka śród niwy, 5
Nucąc żałosną dumkę lecisz niecierpliwy?
Bo i czapkęś nasunął, i rospuścił wodze,
A długi tuman kurzu ciągnie się na drodze:
Zapał jakiś rozżarza twojej twarzy śniadość,
I jak światełko w polu błyszczy na niej radość; 10
Gdy koń, co jak ty dziki lecz posłuszny żyje,
Porze szumiący wicher wyciągnąwszy szyję.
Umykaj Czarnomorcu! z swą mażą skrzypiącą —
Bo ci synowie stepu twoją sól roztrącą.
A ty czarna ptaszyno, co każdego witasz, 15
I krążysz, i zaglądasz, i o coś się pytasz,
Spiesz się swą tajemnicę odkryć kozakowi —
Nim skończysz twoje koło, oni ujść gotowi.

II.

Pędzą — a śród promieni zniżonego słońca,
Podobni do jakiego od niebianów gońca — 20
I długo i daleko słychać kopyt brzmienie:
Bo na obszernych polach rozległe milczenie;
Ani wesołej szlachty ni rycerstwa głosy,
Tylko wiatr szumi smutnie uginając kłosy;
Tylko z mogił westchnienia, i tych jęk zpod trawy, 25
Co śpią na zwiędłych wieńcach swojej starej sławy.
Dzika muzyka — dziksze jeszcze do niej słowa,
Które duch dawnej Polski potomności chowa —
A gdy cały ich zaszczyt krzaczek polnej róży,
Ach! czyjeż serce, czyje, w żalu się nie nuży? 30

III.

Minął już kozak bezdnie i głębokie jary,
Gdzie się lubią ukrywać wilki i Tatary;
Przyleciał do figury (co jej wzgórek znany,
Bo pod nią już od dawna upiór pochowany).
Uchylił przed nią czapki, żegnał się trzy razy, 35
I jak wiatr świsnął stepem z pilnemi rozkazy.
I koń rześki, żadnym się urokiem nie miesza,
Tylko parsknął, i wierzgnął, i dalej pospiesza.
Ciemny Boh po granitach srebrne szarfy snuje,
A śmiały wierny kozak myśl pana zgaduje — 40
Szumi młyn na odnodze, i wróg w łozie szumi,
A żwawy wierny konik kozaka rozumie —
I przez kwieciste łąki, przez ostre bodiaki,
Lżéj się nie przesuwają pierzchliwe sumaki;
I jak strzała schylony na wysokiéj kuli, 45
Czai się zwinny kozak, do konia się tuli;
I przez puste bezdroża król pustyni rusza —
A step — koń — kozak — ciemność — jedna dzika dusza:
O! któż mu tam przynajmniéj pohulać zabroni?
Zginął — w rodzinnym stepie nikt go nie dogoni. 50

IV.

Ruszaj, ruszaj kozacze — pośpiech nakazany;
W starym wyniosłym zamku nie małe odmiany:
Pan Wojewoda z synem od dawna w rosprawie,
Długo teraz rozmawiał, — i bardzo łaskawie;
A jednak — żywe były urazy i zwady, 55
Zatruta serc pociecha, zniszczone układy,
I łzy czułej rozpaczy i pychy zapału
Płynęły — często — gorzko — ale bez podziału.
Już inaczéj w tym zamku — znikły niesmak, żałość,
Jaśnieje przepych pański, naddziadów wspaniałość: 60
Już śród licznego dworzan i służby orszaku,
Grona paziów, rycerzy domowego znaku,
W okazałe komnaty, (długo niewidziany)
Zeszedł Pan Wojewoda bogato przybrany;
A gdy każdy to szczęście usiłował głosić — 65
Zdawał się więcéj synem niż chlubą unosić.
W spokojnych jego rysach trudno poznać znamię
Głębokich wewnątrz uczuć; tylko dzielne ramię —
Świetna mowa, dla ludzi — imię znakomite —
Co w sobie to na zawsze dla wszystkich ukryte: 70
Lecz teraz, czy z potrzeby, czy w nagłém wzruszeniu,

W pieszczotach dawał ulgę długiemu cierpieniu;
I gdy w cichości z synem jakąś sprawę waży,
Widocznie — uśmiech igrał na poważnej twarzy;
A w oczach się mignęła szybka dzika radość, 75
Jak kiedy długim chęciom już się staje zadość,
Jak gdy w trudzącym biegu i myśli ucisku
Spocznie kto już na chwilę — choćby na mrowisku.
Spocznie? — oh! może tylko czoło pałające
Położy, gdzie go żądeł czekają tysiące. 80

V.

Do późnej nocy w zamku zgiełk i tentent trwały;
Do późnej nocy trąby i wiwaty grzmiały;
Dawny wrócił obyczaj, wspaniała ochota,
Długie się stoły śklniły od srebra i złota;
I loch pański jak serce zdawał się otwarty — 85
A stary węgrzyn płodził nie bez duszy żarty;
I godząc huczne tony z wesołym hałasem,
Muzyka z swą melodją przebiła się czasem.
Do późnej nocy twarze — ostre — malowane —
Przodków w długim szeregu zebranych na ścianę, 90
Zdały się iskrzyć nieraz martwemi oczami,
I śmiać się do pijących — i ruszać wąsami.

VI.

W ustach mieszka wesołość — w oczach myśl zgadnienia —
W głębi to, w głębi serca, robak przewinienia;
A gdy jaka uciecha razem ludzi zbierze, 95
I Pycha, i Pochlebstwo, śmieją się — nie szczerze.
Może tak w dawnym zamku — bo w rznięte podwoje
Już noc zaprowadziła ciemne rządy swoje;
Już ucichli surmacze; Sen szczęście osłania;
I puszczyk z wieży zaczął grobowe wołania; 100
A jeszcze — w bocznem skrzydle obszernej budowy,
Gdzie dzielny Wojewoda wzrok orli, surowy,
Pomarszczoną powieką w ustroniu przyciska,
Jak w jaszczur kryją kamień, którym duma błyska —
Jeszcze stuk chodu słychać—lub ciężkie westchnienia 105
W przerwaném tępotaniu wracają sklepienia.
Nikt tam nie zawołany wnijść się nie poważy —
Tam jego myśl ukryta samotnie się żarzy —
Tam może brnąć już w rozpacz, w niezwykłej niemocy,
Depce burzliwym krokiem po ciemnościach nocy, 110
Jakby w jej czarném tchnieniu chciał gdzieś znaleźć rękę
Krwawej zgubnej przyjaźni — lub zgasić swą mękę!
I gdy z gorących oczu sen trwożny odlata,

I gdy mu duszną była wysoka komnata,
Otworzył wązkie okno — patrzał czas niejaki 115
Na swoje liczne hufce, rozwinięte znaki,
Co się do nakazanej zbierały wyprawy;
Słuchał budzącej trąby i wojennej wrzawy:
Prychają rącze konie, brzęczą w ruchu zbroje,
Szumią skrzydła husarzy, chcą lecieć na boje. 120
Dla nich wstające słońce w różowej pościeli
Blaskiem złotych warkoczy widokres weseli,
I wznosząc świetne czoło, najpierwszém spojrzeniem
W lśniącej stali swe wdzięki postrzega z zdziwieniem;
Dla nich pachnący wietrzyk, co swój oddech świeży 125
Dmucha na włosy dziewic i pióra rycerzy;
Dla nich gwar małych ptasząt, w żywéj słodkiej nócie,
Co z mokrych rosą dziobków wyrywa uczucie:
Nie dla niego — on nie chciał na widoku zostać —
W niknących cieniach zamku zanurzył swą postać, 130
Jak te straszące mary, które bojaźń naszą
Widzi w bezsennej nocy — poranek rozprasza.

VII.

Dano znak — wrzasły trąby — szczęknęły podkowy —
Mężnego towarzysza, wierny szeregowy
Jak cień nie odstępuje; i szybkim obrotem, 135
W ciasną gotycką bramę suną się z łoskotem.
Zagrzmiała długiém echem do sklepienia drżąca —
Aż łagodniejszą ziemię, lżéj kopyto trąca;
I ciszéj, ciszéj brzęcząc — już słabo — zdaleka —
Głuchy dochodzi odgłos, i coraz ucieka. 140
Dopiero to na polu — gdzie ogromne koło
Wytoczyło już słońce — bujają wesoło;
I pstrym swoim proporcem nim sławy dostąpią,
W żywych strumieniach światła jak orły się kąpią.
Tysiące piór, kamieni, w blask, w farby się stroi; 145
Tysiące drobnych tęczy odbija się w zbroi;
A na ich bystrych oczach siedziało Zwycięztwo,
A na ich serc opoce kwitły Wierność, Męztwo,
A na czele tych szyków wyniosły młodzieniec.
Lecz któż on? jakiż chwały czy szczęścia rumieniec 150
Lniane chcą cienić włosy? oh! milszy sto razy,
Niż różowe porankiem natury obrazy,
I słodszy, i jaśniejszy od chwały połysku,

Ten blask — co w jego serca żywi się ognisku,
Ten uśmiech — w którym może choć część zachwycenia 155
Z jakiém wybrani słyszą Cherubinów pienia.
Na lotnym jechał koniu — i nad jarów brzegi,
Poprowadził w porządku milczące szeregi;
Znikli w zarosłą przepaść — aż krążąc parowy,
Jeszcze raz, świetne z krzaków ukazali głowy; 160
Jakiś na wzgórku rozkaz młodzieniec dał znakiem —
I poszli, poszli drogą za żwawym kozakiem,
Którego lekkie ślady od kopyt bez stali,
Wietrzyk z rosą jak dzieci, piaskiem przysypali.

VIII.

I ciche, puste pola — znikli już rycerze, 165
A jakby sercu brakli, żal za nimi bierze:
Włóczy się wzrok w przestrzeni; lecz gdzie tylko zajdzie,
Ni ruchu nie napotka, ni spocząć nie znajdzie,
Na rozciągnięte niwy słońce z kosa świeci —
Czasem kracząc, i wrona i cień jej przeleci, 170
Czasem w bliskich burjanach świerszcz polny zaświérka,
I głucho — tylko iakaś w powietrzu roztérka.
To jakże? Myśl przeszłości w tej całej krainie,
Na żaden pomnik ojców łagodnie nie spłynie;
Gdzieby tęsknych uniesień złożyć mogła brzemię? 175
Nie — chyba lot zwinąwszy, zanurzy się w ziemię:
Tam znajdzie zbroje dawne co zardzałe leżą,
I kości, co nie wiedzieć do kogo należą;
Tam znajdzie pełne ziarno w rodzajnym popiele,
Lub robactwo rozlęgłe w świéżém jeszcze ciele; 180
Ale po polach błądzi nie sparłszy się na nic,
Jąk Rozpacz — bez przytułku — bez celu — bez granic.

IX.

Pod staremi lipami, Miecznik dumał stary;
I dźwigał w zwiędłej głowie utrapień ciężary:
Chociaż ten czarny żupan smutny przy siwiznie, 185
Nosił i jasne barwy gdy służył ojczyznie.
Ojczyznie! której imię śród boju i rady,
I spornego wyboru, i hucznej biesiady,
Czystym gorzało ogniem — a serce, jak w wiośnie
Ptak do słońca, do niego skakało radośnie! 190
Ale czas świetnych uczuć już zciemniał — ej! minął
I boli tylko życie a kwiat jego zginął.
Dumał — i przeszłe żale, obecne zgryzoty,
Pokrył kir nieprzebity grożącej sromoty;
O! póki tchu przynajmniéj, tak łatwo i marnie 195
Płomień zawziętej pychy gniazda nie ogarnie!
O! póki czarny żupan żywe członki ciśnie,
Wyschła ręka w potrzebie starą szablą błyśnie!
Lecz potém? — dumał Miecznik i wzrok wodził hardy,
Pełen niechęci — gniewu — a może i wzgardy. 200

X.

Przy nim młoda niewiasta — czemuż kiedy młoda
Tak zamglonym promieniem świéci jej uroda?
Ni ją ubiór udatny, ni ją stroją kwiaty:
Czarne oczy spuszczone, i żałobne szaty;
A w twarzy smutek, czoło co schyla w cichości, 205
Którego całym blaskiem — uśmiech cierpliwości!
Lub jeśli kiedy nagle, w pośród gęstych cieni,
Jaka myśl czy pamiątka, jej lica zrumieni,
To tak mdłém bladém światłem, jak gdy xiężyc w pełni
Niezwykłém życiem rysy posągu napełni. 210
Piękna, szlachetna postać — do Aniołów grona
Dążyła, ich czystości czarem otoczona:
Ale trawiący oddech światowych uniesień,
Owiał pąk młodych uczuć i zwarzył jak jesień:
To jeszcze jest na drodze, gdzie nią wicher miota, 215
W ciężkich kajdanach ziemi dla nieba istota;
Serce nosi uschnięte, a świéci jak zorza.
Podobna do owoców Umarłego Morza,
Pod których śliczną farbą, śród trudu, mozoły,
Podróżny widzi nektar, — znajduie — popioły. 220
Jakaś posępna słodycz w jej każdém ruszeniu:

Ani łzy, ani żalu, w jej mglistém spojrzeniu;
O! nie — przeszłych już zgryzot nie widać tam wojny,
Tylko znikłej nadziei grobowiec spokojny,
Tylko się lampa szczęścia w jej oczach paliła, 225
I zgasła, — i swym dymem całą twarz zaćmiła.

XI.

Przy nim młoda niewiasta nad xięgą Żywota,
Jak trwożna gołębica, pod jasności wrota
Wzbijała ducha wiary: i skrzydły drżącemi,
Szukała swego gniazda daleko od ziemi. 230
Aże nad przepych świata i blasków pozory,
Widniejsze pióra białe zniżonej Pokory;
I drży nić którą serce do nieba związane:
To kropla słodkiej rosy upadła w jej ranę.
I wznosząc w górę oczy z tym tkliwym wyrazem. — 235
W którego jednym rzucie wszystkie czucia razem,
Gdzie Przyszłość do Przeszłości po jasnym promieniu
Biegnie jak czuła siostra łączyć się w spojrzeniu —
I wznosząc w górę oczy — doznała — jak lubo,
Rozbłąkanej w swym żalu swego szczęścia zgubą, 240
Gdy już z ziemskich i chęci i strachu ochłodła,
Tęsknić szlachetnej duszy do swojego źródła!
Jak miło, by nie wadzić w światowym zamęcie,
Zniknąć — na zawsze zniknąć pod Śmierci objęcie!
A ktoby widział wtedy jej twarz promienistą, 245
I smutnego Miecznika duszę przejrzał czystą,
Te lipy rosochate — starodawne stroje,

Których dla wyobraźni tak przystoją kroje;
A ktoby widział jeszcze jak jasność i wonie
Męczeńskim wieńcem nagle oblekły im skronie — 250
Oh! może się przenosząc w odleglejsze wieki,
Świetniejsze okolice, kraj sławny, daleki,
Nad brzegami Jordanu, pod palmy drzewiną,
Usiadłby zamyślony z hebrajską rodziną:
I w spólnictwie niedoli czując trwogę świętą, 255
Poznał — tęż samą rękę, wieczną, niepojętą,
Co swe łaski i kary zsyła lub odwleka;
Też same zawsze troski wygnańca — człowieka,
Któremu nawet w szczęściu jeszcze czegoś trzeba,
I tylko wtenczas błogo — gdy westchnie do nieba! 260

XII.

„Ojcze! ja nazbyt długo, w miłych myśli kole,
„Obłąkałam się dzisiaj — a na twojém czole
„Ciemne następstwo zgryzot zawsze się przebija;
„A kiedy radość mignie, to zaraz i mija,
„Jak promyk co z obłoków na wyniosłe góry 265
„Błyśnie — i znów go skryją wiatrem gnane chmury.
„Oh! czemuż już nie spocznie twoja głowa siwa?
„Tu — na łonie; nie bój się — teraz żal nie spływa,
„Jak wtedy coś w mych rękach usnął zmordowany
„I wstał, schylonej córki łzami zapłakany! 270
„Sroga nieszczęść igraszka; — i tak zżółkły parość
„Popsutym karmił sokiem swego dębu starość:
„I tak zaparte czucia długiém uciśnieniem,
„Rwąc tamę mej rozwagi, lały się strumieniem.
„Ah! jakże to boleśnie nazad się obrócić, 275
„Widzieć Rozpacz grożącą, i nie módz się wrócić!
„Ah! jakże to okropnie w przymusie zostawać,
„Ręką co chce lekarstwo, truciznę podawać!
„Ojcze! drogi mój ojcze! czyż już żadnej chwili,
„Nigdy ci twoja córka, nigdy nie umili? 280
„Gorzka jej była dola — ale to już przeszło:

„Patrz jakie słodkie światło we mnie się rozeszło;
„I uśmiech biega w twarzy niż kiedy zabawniéj,
„I twój pragnie obudzić — jak w szczęściu — jak dawniéj.
„Nieraz ja sobie wspomnę te dziecinne lata, 285
„Tak lube! tak ulotne! i mojego tata,
„Jak czasem zasępiony po trudach spoczywa;
„Aż raptem u dziewczynki wesołość się zrywa;
„I wciska mu się w serce — powoli — nieznacznie —
„Póki się nie rozjaśni, i śmiać się nie zacznie. 290
„I gdzież to się podziała tej dziewczynki władza?
„Pierwéj zganiała chmury, a teraz sprowadza;
„I gdzież to żywy, czysty strumyczek upłynął?
„Mruczał na swą nikczemność, a w jeziorze zginął;
„A nasz śliczny kanarek gdzież to się obraca? 295
„Chciał w ogniu piórka złocić i więcéj nie wraca.
„O! póki ten co w mojém na zawsze był sercu,
„Nim go moim nazwałam na ślubnym kobiercu —
„O! póki ten, co jemu w uczucia się wplatać,
„Brzmić w szlachetnych pomysłach, w westchnieniach ulatać, 300
„W spojrzeniach czuć się światłem i życia potrzebą,
„Było więcéj niż szczęście, było dla mnie niebo —
„Ten, co pączek tkliwego, lubego marzenia
„Rozwinął swoim wdziękiem, ocucił z uśpienia,
„Pił jego świéżą rosę, a na jego kwiecie 305
„Zostawił łzę wdzięczności któréj czas nie zmiecie,

„O! póki ten mój miły, ten świat mojej duszy,
„Łańcucha naszych węzłów swą wzgardą nie skruszy;
„Wierny zostanie cnocie, miłości, pamiątkom,
„A gdy znikł pałac szczęścia, wierny jego szczątkom; 310
„Jeszcze się dla mnie życia nie zamknęło wieko:
„Jeszcze myśl jego o mnie, chociaż on daleko,
„Płynąć będzie tajemnie w umarłe uczucia,
„I jak cudowny balsam bronić od zepsucia.
„I tę straszną ofiarę — i to rozdzielenie — 315
„Zniosę — cierpliwie zniosę — póki nasze cienie
„W słodkich, czystych krainach złączone na zawsze,
„Ludzi już nie zobaczą — lecz niebo łaskawsze!“
Rzekła — i jak w stojącej a popsutej wodzie,
Wzruszone nagle męty osiadły na spodzie, 320
Z serca jej wyszły czucia co w łzach długo mokły, —
I zielonym odcieniem jej bladość powlokły.
„Wolałbym dźwigać więzy u brodacza Turka,
„Niż żeby mi tak marnie więdnieć miała córka;
„Wolałbym w ciemnej turmie pewnej czekać zguby, 325
„Niżli patrzyć spokojnie na te smutne śluby:
„Alboż to naszej Polsce braknie na młodzieńcach,
„Co to pannom umieją wyskoczyć w rumieńcach,
„I tak jak dawniéj było — rycerskie kolano
„Raz w życiu tylko ugiąć — po wianek, za wiano! 330
„Nie, Marjo! nie trza wzdychać — twego nie obrażam:
„Mężny jest i cnotliwy — wiesz że go poważam;

„Lecz mnie jego rodzica pycha niecierpliwi —
„A kiedy łzami Marji swoje serce żywi,
„Ha! toć i u mnie szabla nie czczym tylko blaskiem 335
„I mignie mu pod oczy święconym obrazkiem:
„Taż to u naszej szlachty dawne przywileje,
„Skrzesać ognia w pałasze gdy Przyiaźń sciemnieje.
„Przyiaźń? a nasze hufy nie z sobą na sejmie;
„A nasze *veto* krzyczy jeszcze i w rozejmie! 340
„I gdyby kraju napaść, z Hetmanem umowy
„Nie rzuciły mnie wówczas Szwedowi na głowy;
„I gdyby twoja Matka, (daj jej niebo Panie!)
„W swe rańtuchy nie skryła młodych serc kochanie;
„A niewieścim w błyskotkach, tajemnicach, smakiem, 345
„Nie zawarła tych związków z swych matron orszakiem —
„Nigdyby w moje kopce wróg się nie mógł schować:
„Anibym jego złości dozwolił grasować.
„Bo cóż to ja zastałem? żonę zmiotła kosa —
„A córę — szczep jedyny — z łez poléwa rosa; 350
„Dla starej karabeli zbyt to wielkie dziwy,
„Znosić tak ciężkie razy, los tak gbelżywy.
„Alboż choć raz do serca me dziecię przytulił?
„Alboż młodością — wdziękiem — choć raz się rozczulił?
„Nie — od domu, imienia, ze wzgardą odgania, 355
„I teraz w Rzymie szuka ślubów rozwiązania;
„O! co tak to najlepiej! i mnie to rozwiąże —
„Wysunie raźna młodzież, i ja za nią zdążę;

„Choć może mniejsi w liczbie, Boga w pomoc wezwą:
„To w końcu tej tam waśni — dzwony się odezwą!“ 360
Otarł znużone czoło, czapkę głębiéj wmiesił,
Kiwnął ręką, i głowę czarnym myślom zwiesił.

XIII.

Za wrotami koń grzebie, a we wsi psów wrzawa,
Skąd to kozak przypędził że taka kurzawa?
I zsiada — i na płocie cugle zarzuciwszy, 365
Wchodzi w duży dziedziniec, wąsa poprawiwszy.
Na ogorzałej twarzy ostrych chwil wspomnienie:
Prosty jego był ukłon, krótkie pozdrowienie;
Jednak różnym się zdaje od służalców grona,
Poddany — lecz swobodę z ojca powziął łona. 370
I gdy dumnie pojrzawszy do pana iść żąda,
Śród wiodącej go zgrai jak władca wygląda;
Zwinne jego obroty, kroki jego leksze,
Bo swoje członki wędził na stepowym wietrze,
A barania mu czapka, za każdém ruszeniem, 375
Miga gdyby chorągiew czerwonym płomieniem —
Pomiędzy chwast, zarośle — gdzie lipy z okopu
Są i cieniem i trwogą poziomemu chłopu —
Aż przed pana Miecznika stawi się z orszakiem.
A koń rży, jak za matką tęskni za kozakiem! 380
„Czy masz pismo?“ — „Jest Panie—i jeszcze list wczora
„Oddałby nim kur zapiał, bo świsnął z wieczora,
„Ale że czart na stepie tumany wyprawiał, —

„To żeby was z Jejmością Bóg od złego zbawiał.“
„Że wasze mi z listami spóźnił się — to gorzéj: 385
„Czyj kozak? co się djabłów albo ludzi trwoży?“
„Alboż wam nie świadoma krasnych czapek sława,
„Co z rodu panom wierna? — czyj? — Grafa Wacława.“
Czyta Miecznik: gdy w Marji ocknioném wejrzeniu,
Nie czcza tylko ciekawość — życie w przesileniu; 390
Jej łono podniesione w lekkiej pływa fali,
Co ją do szczęścia niesie, lub szturmem obali;
Jej lica płomień zajął, z pod serca zapory,
Pięknym, lecz przykrym blaskiem — jak suchot kolory.
„O kozaku i koniu niech mają staranie! 395
„Ja wraz listy odpiszę — waszeć czekaj na nie.“
Na głośno grzmiące słowa słuch miał przytępiony;
Na śliczne czarne oczy spojrzał rozczulony:
Skłonił nisko Ichmościom; i co bądź się zdarzy;
Kozak z służbą odchodząc — wesoło im gwarzy. 400

XIV.

„Niechaj kto ludzi zgadnie! — jeśli to nie zdrada,
„To mojej biednej Marji radość zapowiada.
„Pisze mi Wojewoda w cukrowych wyrazach,
„Że mamy już zapomnieć o naszych urazach;
„Że żałuje za grzechy — nie tylko ogłasza 405
„Swój affekt dla synowej, ale w dóm zaprasza:
„Więcéj jeszcze — takiego jak mówi zamęścia
„Syn nie wart, bo zasługą trza się dobić szczęścia;
„Pragnie więc żeby wprzódy w wojennej potrzebie,
„Jakim rycerskim czynem stał się godnym ciebie; 410
„I gdy właśnie Tatarzy grasują w téj stronie,
„Jemu stawić się kazał w twych wdzięków obronie;
„A tak z laurem u czapki światu się pochwalić,
„Że tę co umie kochać — potrafi ocalić!
„Dziś ma tu z wojskiem ciągnąć.“ — „Dziś? ja go zobaczę? 415
„O Boże! jaka radość! jakże serce skacze!
„Ale na cóż te bitwy? czyż z twarzy wyrazu,
„Że śmiały i szlachetny niewidać od razu?
„Jednak to rzadko ludzi jak Pan Woiewoda,
„Sam wyznaje się winnym — lecz mnie ciebie szkoda!“ 420

„Ojcze! ja taka blada — on mnie się przerazi;
„Może się dużo zmartwi — może się obrazi —
„Trzaby się — trochę przywdziać — jakże znajdujecie:
„Jabym chciała być jemu najpiękniejszą w świecie!“
„Czekaj, czekaj — przed siecią nie złapiesz szczupaka; 425
„Może tu jeszcze przyjdzie zagrać nam w straszaka:
„Wszakże i ja Tatarów wypłoszyć stąd żądam,
„A dla czego wżdy siedzę? bo się wzad oglądam;
„Zobaczym tych rycerzy — mnie się wszystko roi,
„Że jakieś mataczyny Wojewoda stroi.“ 430
Ale już trąb w powietrzu rozlega się brzmienie;
Słychać z dala chrzęst zbrojnych, a ziemi jęczenie;
Już wyprzedziwszy hufce co w wolnej szły mierze,
Stanęli jacyś u wrót skwapliwsi rycerze.
„Wacław!“ krzyknęła Marja — i prędzéj niż strzała, 435
Kirem okryta postać do niego leciała.

XV.

O! jakże szczęście ładnie, jak żywo oświeca,
Młode szlachetne czoła a nadobne lica!
Jak w pogodném spojrzeniu jaśniało wspaniale,
Wdzięczne serce młodzieńca w całej swojej chwale! 440
I na tle przezroczystém pociechy rozlanej,
Słodkie sny przez nadzieję duszy kołysanej:
Mężny — wyniosły — miły — po niszczącej burzy,
Różowy blaskiem tęczy co mu przyszłość wróży —
Z jakąż lubą roskoszą w każdej żyły biciu, 445
Ujął w spragnione ręce swój wdzięk cały w życiu!
Z jakże pyszną opieką, tkliwe drżące łono,
Skrytej cichej pieszczoty, utulił obroną!
Precz złocisty luzaku — weź tego rumaka —
By nie spłoszyć miłości pierzchliwego ptaka. 450
A ty panie Miecznika spocznij — moja rada;
Kręci się łza w twém oku i na wąsy spada,
To może już i w boju robi ci się ckliwo?
A Marja? — ah! i Marja czuła się szczęśliwą!
Szczęściem niewiast, — dla których słodkie w życiu chwile, 455
Są jak pogodne niebo — gdy piorun grzmi w tyle!

XVI.

„No panie zięciu!" Miecznik z mokremi oczami,
Błyszcząc radością serca mówił pod lipami:
„Wtym widzę dzikim świecie wiatr pociechę wodzi;
„A ledwo witać zdążysz — żegnać się przychodzi! 460
„Tą razą, nie na długo — mężnie się postawim,
„Ja moich także zbiorę, to się nie zabawim;
„Dobrze mówią że twarda powinność rycerza —
„Kiedy mu zwłaszcza Miłość wygląda z pancerza —
„Alež po krótkim znoju, spokojnej swobody 465
„Użyć bezpieczniéj można na wesołe gody,
„Skoro dom mój uczciło takie lube goście;
„I w kielich się uderzy — i nie będziem w poście.
„Marja niech się tymczasem w krzątaniu nie leni:
„Suto stoły zastawić — nie szczędzić korzeni — 470
„Pieprze, bobki, imbiry, cykaty, szafrany;
„Bo ten piękny rycerz w bakaljach chowany.
„O winie ja pomyślę — i gdy w onym stawie,
„Słońce już błogi żywot zatopi jaskrawie,
„Jeśli mnie nie zawiodą moje przedsięwzięcia, 475
„Tatar rosę pić będzie — ja za zdrowie zięcia!
„Co teraz to was żegnam; po ciężkim frasunku.

„Milsza jeszcze pomyślność — na cnoty kierunku!
„Ja ludziom oręż rozdam, siebie też przysłonię,
„Ale jak w trąby wrzasną — to zaraz na konie.“ 480

XVII.

Poszedł — na świetném, zimném rycerza ramieniu,
Sparta śliczna twarz blada, w piór łagodnym cieniu:
Czarne warkocze dźwięczą bo w łusce pierś harda
Giętką kibić nie ciśnie choć ściska dłoń twarda;
Stalowa odzież — w świecie i Przyjaźń złośliwa, 485
Wdzięczne serce — to Miłość na zbroi spoczywa.
O! jak z spłonionych lic, czułém, chciwém, okiem,
Patrzał w tę piękną postać pod smutku obłokiem!
Jakby powaby liczył! i znowu nie wierzy,
Czy mu Czas w jego skarbie nie zrobił kradzieży. 490
Nie, ten uroczny połysk co jej oczy krasi,
Nieznikomy — bo z duszy — chyba go Śmierć zgasi:
Lecz gdy kir rycerz dostrzegł; i posępną radość,
Co przy żałobnej szacie aż ćmi przez swą bladość;
I słodki w górę uśmiech — boleści wdzięk cały; 495
I na tle czystém — plamy — co łzy wymaczały;
Szczęście się jego prędko owlokło jej chmurą:
To słabszy, wietszy, bielszy — niż u czapki pióro.
„Gdym w stepowej i w dzikszej umysłu pustyni,
„Lubił błądzić, aż pomrok przedmioty zasini; 500
„Nigdy mi żadna gwiazda nie błyszczała w ślady:

„A koń bił się do domu przez wicher i grady,
„Tyś dla mnie zeszła Marjo! i w brzasku mych myśli,
„Świetną drogę twe światło ku niebiosom kreśli;
„O! szczęśliw — pyszny — wdzięczny — że w zalotném gronie, 505
„Czułość na mnie z ufnością śliczne sparła dłonie!
„O! błogi, że w twém sercu przez mokre źrenice,
„Życia — czucia — Aniołów — czytał tajemnice!
„Lecz czemuż ta mgła smutku, której ciężkiém tchnieniem
„Ja oddychał — i ciebie okryła swym cieniem? 510
„Czemuż we mnie tarń życia kolcami nie wrośnie,
„Tobie mdłym pachnąc kwiatem w krótkiej swojej wiośnie?
„I mnie wydarli wszystko — i więcéj niż tobie —
„Ty do nieba należysz, ja się błąkał w grobie;
„A czarném pędzon widmem, gdym jasność postradał, 515
„Byłbym świętym przedmiotom srogie ciosy zadał.
„Bo z panem Wojewodą nie służy żartować,
„I raz dobywszy miecza, już go nie trza chować;
„Toby się ojców zamek był kurzył szeroko,
„I nie jeden pokrewny oblewał posoką; 520
„Toby w sercu osiadły ten dym i ich Cienie —
„Alebym Marji dopadł przez krew i płomienie!
„Nie drżyj, wszystko minęło, gdym ciebie zobaczył;
„Jeszcze pierwéj — jak tylko, żeś moją oświadczył,
„Tak mi tém jedném słowem serce usposobił, 525
„Jak gdyby mi — nikt — nigdy — nic złego nie zrobił.

„To wziąwszy moję szablę, której blask odsłonię
„Nie prywacie, lecz twojej i kraju obronie:
„To wziąwszy mego konia, co nieraz w te niwy
„Tak szybko mnie unosił — jechałem szczęśliwy. 530
„Oh, z jakąż ja radością te lipy ujrzałem!
„Jakże ich chłodu dusza pragnęła z zapałem?
„Ty nie wiész — ty co umiész bez chluby łzy koić —
„Co to jest dzikie serce do siebie przyswoić,
„Co tęsknić za dobrocią, a wdzięków żałować 535
„W których spomnieniu umysł chciałby istność schować.
„Marjo! czyś ty nie chora? bo masz taką postać,
„Jakbyś się do Aniołów myślała już dostać;
„I w nowém udręczeniu, choć się tobą pieszczę,
„Prawie się spytać pragnę—czy mnie kochasz jeszcze?“ 540
„Czy Marja ciebie kocha? mój drogi, mój miły,
„Więcéj niż kochać wolno, i niż mogą siły;
„Więcéj — niż wątłe serce, gdy jemu już zadość,
„Znieść umie tak niezmierną, niespodzianą radość:
„I gdyby nie Tatarzy co mi w oczach błyszczą, 545
„I gdyby nie ich strzały co mi w uszach świszczą,
„Tak mi lekko, tak słodko, tak mi nic nie trzeba,
„Jakbym w twojém objęciu leciała do nieba.
„Czy Marja ciebie kocha? pytaj się jej cienia,
„Czém dla Marji świat cały bez twego spojrzenia? 550
„Czém dla Marji świat przyszły — bez twego spomnienia?
„Nieraz w zmysłów zamknięciu, nad tą dużą księgą

„Zniżona całém czuciem przed Stwórcy potęgą,
„Gdym chciała ciebie stłumić modlitwy pociechą,
„Zaraz mi brzmiało, jakby — twego żalu echo! 555
„To może pan Bóg skarze tak żywe kochanie,
„I tatarska ci strzała w serce się dostanie;
„Widzisz ten jasny promień? co z liści osnowy
„Ciągnie swój drżący połysk między nasze głowy?
„Ten promień żywi — zdobi — każdego weseli; 560
„Czemuż gdyśmy złączeni — on jeszcze nas dzieli?
„Próżno, próżno, mój luby — choć usta z ustami,
„Patrzaj — chyli się z liściem, i jest między nami.
„Ah! śród uniesień bitwy i zwycięztwa wrzawy,
„Przypomnij sobie drogi, że promień twej sławy 565
„Tak czysty, taki świetny, jak słońca na niebie,
„Jaskrawym swym wieczorem noc spuści na ciebie —
„Oh! niechaj pierwej Marję w ciemnościach zagrzebie!
„Nie prawdaż mój Wacławie? ty będziesz odważny,
„Stały, wytrwały, dzielny — ale i uważny: 570
„A gdy już moje oczy wdrążone zgrzyzotą,
„Długo patrząc w swój żywioł, swe życie rozplotą,
„Gdy serce wytchnie z trwogi przy piersiach bez stali —
„To może się na miłość Wacław nie pożali?
„Cieszyć się twą radością — twój smutek łagodzić — 575
„Nie myśléć, tylko o tém, w czém tobie dogodzić —
„Być twoich chwil osłodą — czasem ich ozdobą —
„Żyć dla ciebie i w tobie — umierać przed tobą —

„I w tej ostatniej chwili, choć w cierpień natłoku,
„Gasnącym wzrokiem szczęście składać w twojém oku — 580
„A gdy nie wolno z tobą, żyć w twojej pamięci —
„To Marji cała miłość, wszystkie Marji chęci.
„Skoro mi szczęśliw wrócisz, mą harfę nastroję;
„I przy blasku xiężyca usiadłszy oboje,
„W tkliwej, smutnej, jak lubisz, unosząc się nócie, 585
„To co nikt nie wyraził — przywłaszczym uczucie.
„Ah! — z jak okropną trąby zagrały żałobą!
„Oh! nie rzucaj mnie znowu! oh! zabierz mnie z sobą!"

XVIII.

Padła w drogie objęcie, i wygiętą kibić
Żal z taką drżącą trwogą do niego chciał przybić, 590
Taka mdłość w bladych licach, a śliczne ramiona
Tak go czule garnęły do słodkiego łona —
Że gdy z tych smutnych pieszczot wydzierał swą wolę,
Jakby je zrywał z serca, takie w niém czuł bole.
Nie — zostać niepodobna — chyba sławę skazić, 595
I zawdzięczając miłość na wstyd ją narazić!
Lecz, oh! jakże głęboka, jak posępna żałość,
W rozpaczy swej kochanki hartować swą stałość!
Ani jej wszystkich wdzięków pożegnać był w stanie;
Ni czasu w marnych jękach przeciągać rozstanie! 600
Woła do chwały trąba, siwy wódz go czeka,
Burczą rozpięte znaki, zwycięztwo ucieka.
Powstał — złożył swą lubę — dzikim ogniem błysnął —
Białą omdlałą rękę do ust swych przycisnął,
Jakby w jej szczupłe, gładkie, rozkoszne ugięcie, 605
Chciał wrazić wszystkie czucia, w swych uczuć zamęcie.
Już odszedł — wziął spokojność — przed wzrokiem co czuwa,
Lśniącą, wyniosłą postać krok każdy usuwa;

Już w jego próżném miejscu, zadumana blada,
Ciszę budząc westchnieniem, Samotność usiada; 610
A na odłogu szczęścia, Zgryzota korzeni
Swe kolczyste łodygi, robaczliwej rdzeni.

XIX.

Dosiadł bystrėgo konia, lecz troskę miał w oku
Młody Wacław — i w pierwszym osadził go skoku:
Dosiadł bystrego konia, lecz spojrzał wesoło 615
Stary Miecznik — i w pędzie zawinął nim koło;
Za niemi brzmią puzany — za niemi, za niemi,
Zrywają się rycerze jakby ptaki z ziemi;
Hasa szlachecka młodzież na wroga Tatara —
Sunie się towarzystwo, i w szeregach wiara, 620
Pancerni i husarze — za nimi kozaki,
I z spłoszonemi końmi harcują luzaki.
Patrzaj pyzate dziécię z pod słomianej strzechy
Niech ci widok żołnierzy zaszczepia uśmiechy,
To może dziki owoc zerwie potém wojna: 625
A ty matko co kłaniasz, bądź zdrowa, spokojna,
Nie trwóż się szczękiem zbroi, długiemi dzidami,
Zapał polskiego wzroku ugasza się łzami.
Już we wsi tylko kurze — jeszcze słuch, łoskotem,
Drga dźwięcząc przygłuszony i koni tupotem. 630
Już we wsi kurz osiada — jeszcze przerywanie,
Zdala wojennych rogów dolatuje granie.
I cicho — jak na sercu Śmierć swój obraz kréśli;

I pusto — smutno — tęskno — jak u Marji w myśli.
Wzniosła swą lekką postać do góry, do góry, 635
Nic nie widać — tylko wiatr szare goni chmury:
Zniżają się kolana, prośba ręce składa,
Z oczu w niebo utkwionych kroplami żal spada;
I cicho — jak modlitwa w łono Boga płynie —
I pusto — smutno — tęskno — jak gdy szczęście minie. 640

PIEŚŃ II.

On Conrad's stricken soul exhaustion prest
And stupor almost lulled it into rest.

Byron.

I.

„Bujno rośnie, odludnie kwiat stepowy ginie;
„I wzrok daleko, próżno, błądzi po równinie;
„A w niezbędnej zgryzocie jeżli chcesz osłody,
„Chmurne na polu nieba, i cierpkie jagody,
„Idź raczéj, w piękne mirtów i cyprysów kraje; 645
„Codzień w weselnej szacie u nich słońce wstaje;
„U nich w czystém powietrzu jaśniejsze wejrzenie,
„I głosy rozpieszczone, i roskoszne tchnienie:
„U nich wawrzyny rosną: i niebo pogodne,
„I ziemia ubarwiona, i myśli swobodne: 650
„A na kształtnych budowlach, męże wieków dawnych
„Stoją w bieli — i pyszni z swoich imion sławnych,
„Zapraszają zdaleka w czarowne zwaliska,
„Bogów i bohatyrów — pająków siedliska.
„Tam, jeśli dawnych rzeczy myśl w tobie głęboko, 655
„Może w ten śliczny błękit wpatrzywszy twe oko,
„Słodycz w rozpaczy znajdziesz, i lubość w żałobie,
„Jak uśmiech ust kochanych w śmiertelnej chorobie:
„Ale na pola niechodź gdy serce zbolało;
„Na równinie mogiły — więcéj nie zostało — 660

„Resztę wiatr ukraiński rozdmuchał do znaku —
„To siedź w domu, i słuchaj dumek o kozaku."

„Moje młode pacholę gdzież to ty wędrujesz?
„Czy z Ziemi Świętej wracasz, że tak utyskujesz?"

„Oh! nie—ja wszystkim obcy śród mojej ojczyzny — 665
„I Śmierć mi zostawiła czarne w piersiach blizny —
„I świata jadłem gorzkie, zatrute kołacze —
„To mnie ciężko na sercu, i ja sobie płaczę.
„A kiedy się rozśmieję — to jak za pokutę;
„A kiedy będę śpiewał — to na smutną notę; 670
„Bo w mojej zwiędłej twarzy zamieszkała bladość,
„Bo w mej zdziczałej duszy wypleniono radość,
„Bo wpływ mego anioła grób w blasku zobaczy."
„To czegoż chcesz pacholę?" „Uciec od Rozpaczy."

II.

Stało młode pacholę, pod płotem zostało, 675
Na smutek co się skarzy uważają mało,
A ten co z niém rozmawiał na wrotach oparty,
Wyszczérzył w inną stronę wzrok cały otwarty —
Skąd w rożnofarbnych strojach, huczne czyniąc wrzaski,
Niespodzianym orszakiem, zbliżały się maski. 680

1.

„Czy znasz weneckie zapusty?
„I w noc, i we dnie,
„Wesołe, szalone, przednie;
„Maska twarz kryje — a kto się pyta
„O sprawy czyje, tego przywita 685
„Wrzawa, śmiech pusty.
„Żywo, radośnie,
„Skrycie, miłośnie,
„Staruszek Doża, Arlekin młody,
„Dziewczyna hoża, szuka osłody; 690
„Matrony, ... , oszusty,
„Swobody;

„A kryte łodzie
„Czernią na wodzie.
„Wrzawa, śmiech pusty; 695
„Czy znasz weneckie zapusty?“

2.

„My sobie jedziem kulikiem;
„I w noc, i we dnie,
„Wesołe, szalone, przednie:
„Maska nas kryje — o kto chce wiedzieć 700
„Skąd my i czyje, to odpowiedzieć
„Śmiechem i krzykiem,
„Szczera ochota
„Otwiera wrota;
„Bo Krakowianki, i pielgrzym stary, 705
„Żydzi, Cyganki, uderzą w pary;
„Wróżki, Djabli, nie oszusty,
„W puhary:
„Lecim saniami,
„I jadą z nami, 710
„Wrzawa, śmiech pusty;
„Czy znasz ty polskie zapusty?“

„Ale tu wejść nie można — teraz nie zapusty —
„Pan Miecznik na Tatarach, to i dworzec pusty.“

Tak starysługa wstrzymał tych przychodniów śmiałość; 715
I znów rozparł na wrotach niewzruszoną stałość.
Lecz gdy grać, śpiewać, piszczeć, grzechotki potrząsać
Poczęły wszystkie larwy — a nogami pląsać;
I łączyć obce stroje, papierowe czoła,
Wzrok żywy, rysy martwe — w migające koła; 720
I farby, blaski, cienie, rozwijać w polocie;
I skoczno, zwinno, huczno, rzucać się w obrocie;
Tak mu w szumiącej głowie myśl wzięła tańcować,
Że patrzał, a nie wiedział, jak się pomiarkować:
Śmiał się z Żydów, Cyganek; bał Wróżek z Djabłami; 725
I chciwie łapał ruchy — i mrużył oczami. —
A maski przed nim skacząc mijały się żwawo,
A maski w nim ciekawość syciły obawą.
Aż wykrojone usta zadmuchawszy w rogi,
Opuściły się ręce — zatrzymały nogi — 730
I głosy ostre, fletni umilone wtórem,
Wrzasnęły tę piosneczkę niedobranym chórem.
„Ah! na tym świecie, Śmierć wszystko zmiecie,
„Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie.

„A gdy się troski do duszy wkradną, 735
„Hucząc w niej chmury czarnemi;
„A gdy nieszczęścia na kogo spadną;
„I postać wzniosłą, szlachetną, ładną,
„Smutek nachyli ku ziemi:

„O! niech na chwilę Złość się już schowa, 740
„Rany sztyletem nie cuci...
„Niech choć przy zgonie zabrzmią te słowa:
„Wróci spokojność — wróci!

„Bo na tym świecie, Śmierć wszystko zmiecie,
„Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie. 745

„Albo gdy nieba cud nad chorobą,
„Gołąb' — od przeklęstw odleci;
„I władzę życia zabierze z sobą;
„A wyschłe lica nadmie żałobą,
„Wprzód nim gromnica zaświeci; 750
„Niech nikt, by uśpić zgonu boleści,
„Tryumfu pieśni nie nuci...
„Chyba te słowa w końcu umieści:
„Wróci twój Anioł — wróci!

„Bo na tym świecie, Śmierć wszystko zmiecie, 755
Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie.

„A gdy kto chętny w drugich obronie,
„I sam się w przepaść zagrzebie?
„Krótka stąd radość w Zawiści łonie;
„Choć złe i dobre w grubej zasłonie, 760
„Sąd ostateczny jest w niebie;
„Może w kłopocie, i silna głowa
Posępnie kiedy się rzuci...

„Niech z ust życzliwych brzmią wtedy słowa:
„Wróci wesołość — wróci!

„Bo na tym świecie, Śmierć wszystko zmiecie,
„Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie. 765

„A gdy kto dążąc z dalekiej drogi,
„W mieszkanie Przyjaźni zajdzie?
„I już w uściskach topić ma trwogi? 770
„Lecz ciche, puste, przebiegłszy progi,
„Twarzy kochanej nie znajdzie;
„Więc drżąc, czy się co złego nie dowie,
„Spuszczone czoło zasmuci...
„Niech choć Gościnność kręcąc sie powie: 775
„Wróci gospodarz — wróci!

„Bo na tym świecie, Śmierć wszystko zmiecie,
„Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie."

„Ha! Pan Bóg święty z wami! jeśliście nie Duchy,
„To wasze pstre maszkarki wesołej otuchy; 780
„Alboż to nam pierszyna? wszak nieraz kuligi
„Po całych tu miesiącach skakały jak frygi:
„Prosim — Jegomość wróci — a choć nie jest w domu,
„Na winie i pierzynie nie braknie nikomu."
Weszły — nisko kłaniają — w parach się prowadzą — 785
Obzierają się w koło — i kupią i radzą.

III.

Słońce już wówczas łuk swój zbiegając szeroki,
Czerwonym blaskiem szare barwiło obłoki;
A żółtém drgając światłem po ziemi i wodzie,
Na swym bogatym tronie płonęło w zachodzie: 790
Już jego pełne dziwów nie razi spojrzenie
Lecz łagodne, widome, rozsiewa promienie;
I w krótkiém pożegnaniu, nim w głąb się zagrzebie,
Śmiertelnym oczom patrzeć pozwala na siebie:
Jeszcze — w chwili ostatniej nie znika z pośpiechem, 795
By wszystkie twory, życia napoić uśmiechem;
Jeszcze wziera przez szyby w mieszkanie człowieka,
Jak wzrok tęsknej Przyjaźni co w podróż ucieka;
I purpurowe szaty rzuciwszy na chmury,
Nurza swe czyste łono w tajniki natury — 800
Gdy Noc, zazdrośnym palcem ścierając Dnia ślady,
Ciemny płaszcz wlecze z tylu, dla zbrodni i zdrady.

Lecz gdzież bawi pan Miecznik? właśnie to jest pora,
W której przyrzekł po bitwie wziąć się do gąsiora;
I miał żywej radości w sercu nie uchować, 805

Dom zebrać, córę szczęścić — bo zięcia częstować;
I piękna mu gromada przybyła w gościnę:
Jakąż niewczesnej zwłoki może dać przyczynę?

IV.

Od chwili co zwycięztwa odkryła się meta;
Od chwili co w niej dosiadł żartkiego dzianeta; 810
Od chwili w której trąby, w wszystkie jego żyły
Głosem dzielnej przeszłości jak grom uderzyły;
I widział raźną młodzież — i słyszał chrzęst broni,
Trzask goleń, szum proporców, a chrapanie koni;
I dążąc w drużbie z zięciem gdzie im sława świeci, 815
Czuł to co stary orzeł gdy pisklę z nim leci:
Od chwili co mu w myśli, wstecznym kręcąc biegiem,
Tatarskie zbrodnie krwawym stanęły szeregiem —
Hardość w zmarszczonem czole, ogień był w źrenicy,
Czapka na lewém uchu, zniszczenie w prawicy, 820
Gdy chciwa walek dusza przeraźliwie strząsa
Każdy włos najeżony u siwego wąsa.
Jak tylko wyszli za wieś — mieczem z pochew świsnął;
I wzrokiem, coby tchórza do ziemi przycisnął,
W bitne hufce patrząjąc że aż serce rośnie, 825
Do uważnego słuchu zawołał donośnie.
„Panowie szlachta! miejscy! bracia szeregowi!
„Wiem żeście spaść na wrogów jak piorun gotowi;
„A ktoby się miał straszyć tatarskiego tańca,

„A ktoby życie szczędził srogiego pogańca, 830
„Niech mi tu precz na szkapie do domu wyskoczy —
„Bobym mu potém kordem zamalował oczy!
„To szybko, łącznie, śmiało — strzałki wystrzelają —
„Bóg wiara — ufność szabla — i łby pospadają,
„Jak kłosy co to niby migocą się świetnie, 835
„Nazajutrz leżą zwiędłe, gdy kosa je zetnie.
„Ale nikt nie potrafi jeść kaszy spokojnie,
„Jeśli wybić szarańczy nie umie na wojnie;
„To cicho — bacznie — mądrze — aż gdy huknie w trąbie,
„Wpaść obces, i pokazać że to Polak rąbie; 840
„Wtedy dopiero każdy niech mi ryb nałowi,
„Panowie szlachta! miejscy! bracia szeregowi!“

Potém jadący szłapią z swoim zięciem w parze,
Naradzał się po cichu w wojennym zamiarze;
Mówił szpiegów wywiadki; tłomaczył jak, kędy, 845
Sił wzajemnych w natarciu połączyć zapędy;
Jak korzystać z zwycięztwa; w przypadku odporu,
Jak używać na pogrom ucieczki pozoru;
Słuchał zajęty Wacław — gdy ręka i głowa,
I każdy rys Miecznika, popierały słowa: 850
Rzekłbyś, patrząc w ich obraz, że sztuka malarza
Z dobranych przeciwności czarowną myśl stwarza,
Żywość w starcu, w młodzieńcu Rozwagę wyraża.

V.

Tymczasem wieś minąwszy, z bitej schodząc drogi,
Coraz się, coraz głębiéj, wpędzali w odłogi; — 855
Gdzie Wiatr ziarna zasiewa, Czas płody przewraca,
Nie zbiera plonu Chciwość, ni schyla się Praca —
Samotne — ciche — błogie — dziewicze ich wdzięki
Kwitną skrycie, od człeka nieskażone ręki,
Niebo je obejmuje — gdy w całym przestworze, 860
Rozfarbionej żyzności rozciąga się morze.
Tam wódz stary, jak żeglarz, podług biegu słońca,
Szybował swojém wojskiem w kierunku bez końca;
Łamią się rosłe trawy, krzą chwasty, a zioła
Składają pod kopyta balsamiczne czoła: 865
Ale przez siwe wąsy nie przechodzą wonie;
Ni lubość tchu słodkiego w groźném biega łonie;
Wojna, wojna zajmuje wszystkie jego władze,
Cześć prochom pól ojczystych, zemsta ich zniewadze!
Ani się wwieść dozwolił w fałszywe zapędy 870
Gdy zszedł tatarskich śladów kręcone obłędy —
Co śród gęstych zarośli, niedościgłe szlaki
Tłoczą na wszystkie strony, dla mylnej poznaki —
Lecz w poprzek przerzynając ich sztuczne drożyny,

Uśmiechnął się — jak strzelec gdy pewny zwierzyny. 875
Wkrótce — złączone hufce — w umyślnym fortelu,
Rozdzielił na dwie części — dla jednego celu:
Do zostających czapką kiwnął pożegnanie;
Z swojemi, w bok się rzucił na niezmiernym łanie;
A kryjąc się w bodjaków rozkwitłych ogromie, 880
Już rycerze bez koni w czerwonym poziomie —
Już popiersia wędrują na skrwawionym spodzie —
Już kołpaki — proporce — już znikli jak w wodzie.

VI.

I Wacław, pan wszechwładny, śród stepów przestrzeni
Sam buja w swoiej woli — czegoż tak się mieni? 885
I Wacław dziki, mężny, śród dzikiej natury
Wiedzie hufce do chwały — czegoż tak ponury?
Śpiewa mu głośno wicher, a Wacław w nim nieraz
Lubił kąpać swe oczy — czemu spuszcza teraz?
Smutny on, zamyślony, choć pełen ochoty, 890
Nie spojrzał nawet jeszcze w swoje wierne roty,
A dla czego? sam nie wie — tylko że mu Sława,
Łzami Marji spłakana, przed oczami stawa;
Tylko że jego serce w takiém nagle drżeniu,
Jakby kto kir przeciągnął w śpiącego ocknieniu 895
I w strachu go zostawił — w trosce — i zdziwieniu.
Szybkim głowy pomiotem strząsnął złote włosy —
Jakby się pozbyć starał zimnej na nich rosy;
Szybkiej konia w wyskoku przychylił się woli —
Jakby ulecieć pragnął od swojej niedoli; 900
A w jego mglistych oczach taki blask w tej chwili,
Jak kiedy dusza czucia najżywsze przesili,
I wszystkie razem smutki w zwycięztwie rozżarzy
Światłem nieśmiertelności na śmiertelnej twarzy.

To jakiekolwiek myśli, wspomnienia, czy trwogi, 905
Żal, słabość, czy widziadła — zbijały go z drogi;
To jakiekolwiek losy zwalczą jego czynność;
Już teraz miłośnicą — rycerska Powinność!
Czy Duch złego, co ludziom nadziei zazdrości,
Odchylił mu przez chwilę zasłonę przyszłości? 910
Czy strony natężone tkliwym władz wysnuciem,
Tknięte ręką Nieszczęścia, zabrzmiały przeczuciem?
Może on w boju legnie? — co bądź mu przypadnie,
Jego umysł, ni szabla, nie ulęże snadnie;
A chociaż Śmierci oddech mgłą oczy zasłoni, 915
Rdzy nie będzie na sercu, ni na jego broni.
I jak wstrzymany potok w swoim bystrym pędzie,
Dno porze, i rozwala łożyska krawędzie;
I jako rumak z pęta gdy lot swój rozwija,
Rwie ziemię, ogień ciska, i wiatry wymija; 920
Tak Wacław niecofnięty w swym ciemnym zawodzie,
Rozdarłszy tło przyszłości co mu na przeszkodzie,
Tém chciwiéj, tém gwałtowniéj, na sztych się wydziera,
Groźnym pewności wzrokiem w swój oręż poziera:
A jednak, głos straszliwy (choć spojrzenie dumne) 925
Brzmi w całem jego ciele — „zdobędziesz ty trumnę!“

VII.

Jest trosków — kolców — bolów — niemało w tém życiu;
I więcéj niż na jawie, płynie łez w ukryciu:
A kto się hucznym śmiechem śród jęków odzywa,
Jak szalony w szpitalu — szczęsnym się nazywa. 930
Lecz gdy umysł szlachetnej uległszy ponęcie,
Z gruzów najdroższych uczuć wznosząc przedsięwzięcie,
Brnie w zdradliwej ufności, a za każdym krokiem
Podkopanych przepaści otoczon widokiem —
Gdy ptak z karmem pisklęcia trzepoce swe skrzydła, 935
Widzi chłopię z pałeczką, a na szponach sidła —
Gdy srozszéj od najsroższych wpatrując się męce,
Sama nawet Odwaga załamuje ręce,
A z tysiąca blizn czarnych co jej w sercu cięży,
Gniazdo syczących na świat wylęga się węży — 940
Gdy Złość w swojém szaleństwie zrobiła zabawę,
Wydrzeć życie w kaduku, ale pierwéj sławę,
I nie tylko Obecność tarza się w ohydzie,
Przyszłość jeszcze otruta rozczochrana idzie,
Komu? anielskiej duszy co za to przeklęta 945
Że cukrem przyjmowała drapieżne zwierzęta —
Gdy każdy dobry przymiot w gorzki żal się zmienia: —

Większe to niżli ziemskie, piekielne cierpienia!
Czy te, lub inne jeszcze dotkliwsze katusze,
Zlały swój wrzący ukrop na młodzieńca duszę. 950
Ci co za nim rzędami w śklniącej gonią fali,
Na smutek swego wodza nie wiele zważali,
Każdy myślał — i chociaż różnica w sposobie,
W tém przecież podobieństwo — że każdy o sobie;
A jednak każdy gotów, z wzniesioném żelazem 955
Rzucić się w ciennik Śmierci — za jednym rozkazem.
Szli — w milczeniu — w porządku — konie koniom w tropy
Krzyżujących nóg stawiąc migające stopy —
Kędy ich długim sznurem, wedle swojej chęci,
Po odludnych manowcach młody Wacław kręci; 960
Przez niezmierzone niwy — tam gdzie już równina
Zda się kończyć, i znów się w płaszczyznę zagina,
Dochodząc — naprzeciwko jasnego obłoku,
Jak Rycerze powietrzni wydali się oku.

VIII.

Lecz cóż widać na wzgórku? z blizkiego rozdołu, 965
Kłęby dymu z iskrami buchają pospołu,
Wiją olbrzymie słupy, co zgięte u góry
W ciężkie — czarne — skrwawione — rozchodzą się chmury,
Lecz cóż słychać na wzgórku? w przyległej nizinie,
Płacz, jęki, krzyk rozpaczy, w słomianej dziedzinie, 970
Co biorąc serce w kręgi przeraźliwém brzmieniem,
Nawet pierś w stal oprawną podnoszą — westchnieniem.
„Baczność — do broni wiara — chorągiew rozwinąć —
„Tatarzy wieś rabują — zwyciężyć lub zginąć!“
I nagle jak wodostok, rycerze zajadli 975
Z błyszczącym szumem z góry na dolinę wpadli.
Tak, — pożar z rąk łupieżców wieś całą ochłonął;
Gdy lud zlękły, bezbronny, w krwi i łzach utonął:
Lecz nie czas koić boleść ni mienie ratować,
Lub pojedynczo z wrogiem o zdobycz harcować, 980
Bo już, — przez swoje czaty, ich Han ostrzeżony,
Zebrał znaczniejsze hordy w taniec ulubiony;
Tam — za wsią — stoją — całe zakrywają pole —
Bór w lewo — strumień w prawo — a oni w półkole.
Widzi ich dobrze Wacław; ale razem zważa 985

Że napad uchybiony na zgubę naraża.
Jak się cofnąć przez ogień? ej! któż zdoła minąć
Co mu niebo przeznaczy — zwyciężyć czy zginąć?
„Czyja wola to za mną“ rzekł, i spiął rumaka,
Co nim się rzucił w pożar; zżyma się i wskaka 990
(Mniej ów niżli Graf Wacław odważny i dziki).
Jakżeby wodza polskie odstąpiły szyki!
To i oni w płomienie — śród blasku pożogi,
Przez głownie i zarzewia, szukają swej drogi.
Już za wsią — i wraz, szybko, sfornie, lekko, śmiało, 995
Rozwinęło się wojsko i w linji ostało:
Zagrzmiały wszystkie trąby jednym strasznym dźwiękiem—
Porwały się kopyta z jednym głośnym brzękiem,
A prychające konie i schylone ciała
Jednym pędem uniosła i Zemsta i Chwała. 1000

IX.

Dzielne było natarcie: Tatarskie szwadrony,
Ich xiężyce, buńczuki z końskiemi ogony,
Ich futra wywrócone, ogromne ich łuki,
Płeć śniada, wąsy zwisłe a czarne jak kruki,
Ich nasępione rysy, przymrużone oczy, 1005
W których śnie srogość zwierząt z ludzką się jednoczy,
Cały ten widok wreszcie w dzikość okazały —
Pożar — stepy w około — świszczące już strzały —
Żadnego, albo raczéj jak z bodźców odzienie,
Takie na czuciach polskich zrobiły wrażenie. 1010
Pędem burzy lecieli; lecz nim przyszło z bliska,
Ludziom, ostrza się dotknąć — koniom, pyskiem pyska —
Gdy w pół obręcz wpadali — wsławioném prawidłem;
Skrzydło tatarskie z tyłu zbiegało się z skrzydłem:
„Alla hu!“ wrzasły hordy, i tysiączne roty, 1015
Na opasanych — strute wypuściły groty.
„Hura!“ krzyknęła wiara, i lotem sokoła
Chmurę strzał przeszywała — w środku tego koła.
Dochodzą, już dochodzą — zbitym w rzędy tłumem —
Lasem dzid najeżonych — z hukiem, z trasklem, z szumem; 1020

Szczęk, krzyk, jęk, łoskot, wrzawa, powstał kurz, a ściana
Przebitych Bisurmanów wali się złamana:
Tratują ludzi konie; koncyrze, kopije,
Kolą pod kopytami niewiernych jak żmije:
Zapał głowy ogarnął; stal bliska; krew broczy; 1025
Śmierć trudzi się zdmuchując wywrócone oczy!
Wszystko to chwilę trwało — bo z boków, i w tyle,
Barbarzyńcy nastają w niezliczonej sile:
Czas ginąć hufcom polskim; młody wódz je zbiera —
Zachęca ich — szykuje — obraca — naciera — 1030
Dopiero mieszanina — każdy obskoczony,
Wirem męztwa na wszystkie wywija się strony,
Rąbie, sili, morduje, z nieprzebraną zgrają,
Jeden dziesięciu zwalczył, krocie nań wpadają,
Stęk zawziętego mnóstwa okropne ich wzraski, 1035
Tuman zewsząd, a mieczów latających blaski!

X.

W natłoku wrogów co go od swoich oddziela,
Sam, — bez wsparcia — nadziei — świadka — przyjaciela —
Walczył ponury Wacław; i walczył już o to,
Żeby życia co ciąży nie oddać z sromotą, 1040
Śmierć miotał śmierci pragnąc — oh! bo w serca głębi,
Pisk taki jak gołębia pod dziobem jastrzębi,
Harmonją jego myśli, lecz czy to z zdziwienia,
Czy z strachu, czy też skutkiem dzielnego ramienia,
Ściskająca go w węzeł niezliczona tłuszcza, 1045
Coraz to w większą przestrzeń przed nim się rozpuszcza;
Widzą — poznają wodza — i każdy koleją,
Rzuci się, zmiesza, zginie — zwyciężyć nie śmieją.
I gdy błękitném okiem rozpoznał młodzieniec,
Cofający się przed nim nieprzyjaciół wieniec; 1050
Smutku tylko doświadczył z tej dziwnej korzyści —
Że już jego przeczucie na nim się nie ziści:
Czemuż choć jednej strzały nie mieli w kołczanie,
Coby jadem jaszczurki utkwiła się w ranie?
Żal mu że już uchodzą — życia się obawia — 1055
Goni ich srogie dusze — piersi im nadstawia!
Zaraz, zaraz — otyły, brunatno czerwony,

Han tatarski tam wpada wściekłością spieniony;
Postrzegł, że jego hordy jakaś moc zwycięża,
Postrzega — że to męztwo samotnego męża; 1060
Targa kłaczystą brodę — z rozpaczy w ohydzie,
Gębę krzykiem rozdziawia: o! zgrozo! o! wstydzie!
Na jednego tysiące, z zmarszczoną powieką,
Miecze wznoszą — już lecą — rozsieką! rozsieką!

XI.

Jakież to grały trąby za przyległym lasem? 1065
Jakież to świeże hufy czwałują z hałasem?
Jakiż to nowy rycerz, krzyżowym zamachem
Drogę sobie toruje śmiercią i przestrachem?
Koń ledwo ziemi tyka; włosy rzadkie, siwe,
Wiatr z światłem rozwijają jak komety grzywę; 1070
A w pływających ruchach, w wydatnej postawie,
Szparko bieżący pośpiech o szybkość w obawie.
Jak lwica opuściwszy swoje lwiątko, skoczy
Zajadłém męztwem, gdy je wpośród ludzi zoczy —
Jak matka, o wygnańca straciwszy nadzieję, 1075
Gdy ujrzy swoje dziecię, w radości topnieje —
Z takiém zmieszaném czuciem i matki i lwicy,
Z kordem świécącym w ręku, z lotem błyskawicy,
Zdziwionym, zlękłym oczom gdyby jakiej mary,
Obok swojego zięcia, — Miecznik stanął stary, 1080
Jego hufce tuż za nim; jego przywitanie,
Tobie należy najprzód napuszony Hanie!
Lecą obces na siebie — Polacy, Tatarzy,
W bezczynném zachwyceniu patrzą co się zdarzy —
Jakiś czas Miecznik zmudził, uderzy — odskoczy —

I znowu w całym pędzie przeciwnika tłoczy:
Aż wybrawszy swą porę w odwet, silnym razem
W kark niewierny święconém utopił żelazem.
Spada dzielnym zamachem odmieciona głowa,
Drga oczami, bełkoce niepojęte słowa, 1085
Toczy się, ziewa, blednie i gaśnie — z tułupa,
Co siedzi niewzruszony, krew do góry chlupa!
Powstał krzyk przeraźliwy; pierzchają — koń Hana
Ucieka między hordy z trupem swego pana:
Strach przejął barbarzyńców; grzmią trąby — rzeź grają — 1090
Nowi rycerze gonią — dawni się zbiegają —
Trzask, iskry — świst z połyskiem — huk — wrzask — jęki — rżenie —
A zapylona Sława upięknia zniszczenie.

XII.

Krótko już trwała walka — wielu oręż składa,
Więcéj legło, płochliwych straż tylna dopada: 1100
Na stratowanej ziemi płyną krwi potoki —
Leżą polskie, kozackie i tatarskie zwłoki;
Jak który upadł tak mu zostać już niewola,
Dusze k'niebu, ich konie rozbiegły się w pola,
Opodal od nich w kurzu kołpaki, turbany, 1105
Tylko miecz wierny przy nich posoką zbryzgany.
O! ty, co twój byt zawisł od współbraci męztwa,
Pójdź słyszeć radość wojny i krzyki zwycięztwa!
Zobacz — jak wpośród trupów co już robak wierci,
Wąsate twarze sobie winszują ich śmierci, 1110
I nasępione czoła rozwidniają śmiechem,
Co w swym hucznym odgłosie jakby gromu echem!
Chodź — nie drżyj; stanąć przy nich każdemu zaszczytnie —
Krwią wrogów zlana śmiałość tak bujnie w nich kwitnie:
A jeśli w tobie budzi, życia poświęcenie 1115
Za kraj swój, za swych ziomków — tylko strachu drżenie;
Jeślibyś wszystko za nich nie oddał w potrzebie;
Opatrz się dobrze wewnątrz — to zlękniesz się siebie.
Chodź — do stalowych piersi twój kaftan wełniany
Przyciśnij z wdzięczném sercem — i całuj ich rany. 1120

XIII.

Był wzgórek z brzegu lasu, zielenił swe czoło,
I zapach macierzanki rozsyłał w około.;
Na nim, schylone brzozy, w swej białej odzieży,
Płakały, gdy warkocze wietrzyk pieścił świeży,
Jak Cienie dawnych dziewic przy kościach rycerzy. 1125
Tam, pod ich snem mroczące balsamiczne wieńce,
Ściągnęli na spoczynek zwycięzcy i jeńce;
Bo w życiu choć ta jedność — że roskosz z cierpieniem
Trud, nuda, wstyd i sława kończą się — znużeniem.
Z przodu — gasnący pożar, jeszcze czasem ciska 1130
Nagłym, śmiertelnym blaskiem, na plac bojowiska;
Z tyłu — słońce już wówczas schowane za borem,
Palącego się lasu dziwiło pozorem:
Szarzały wszystkie farby — kruki gromadami
Zlatywały się, krążąc, wrzeszcząc nad trupami — 1135
Czaty porozstawiane — przy ogniskach wrzawa
Migających się ludzi — w końskich zębach trawa
Jak chrzęst odległych zbroi — a jak orzeł biały,
Siwy, stary pan Miecznik, ale pełen chwały
Chłodząc odkrytą głowę pod brzozą tam siedział, 1140
I ponuremu zięciu te słowa powiedział.
„Synu! — bo kiedyś z sercem pałączon tak blisko

„I masz w niém miejsce syna, miejże i nazwisko! —
„Dziś jakby wszystko wite na szczęśliwej nici;
„Nasz Wacław powrócony — Tatarzy pobici — 1145
„Spokojna Ukraina, bogdaj na czas długi —
„Fortuny to szczodroty nad moje zasługi.
„Lecz kiedy dusza zda się dzierzy czego żąda,
„Coś Wasze na zwycięzcę smutnie mi wygląda?
„Patrzno, jakże ci pięknie xiężyc oto wschodzi — 1150
„Zadość sławie, i sercu sfolgować się godzi;
„Siadaj na koń, spiesz wesół, kędy szczéra żona,
„I wierna wam drużyna, przyjmieć utęskniona:
„Ja tu objażdżki dojrzę — a jutro ze świtem
„Brzęknę wam na dobry dzień witaném kopytem. 1155
„Siadaj — twój dzielny rumak prędko cię dostawi;
„Bądź zdrów! niech ci Bóg zawsze jak ja błogosławi!“

XIV.

Powstał z pośpiechem Wacław, i dawnym zwyczajem
Uściskał starą rękę — co jemu nawzajem
Szorstkie, silne, lecz szczére oddała ściśnienie; 1160
I już bystry koń z jeźdzcem przesadza drzew cienie —
A stary Miecznik wziął się do zwykłych pacierzy. —
O! jak ślicznie przez pole młody Wacław bieży!
Srebrny pobłysk na włosach, na piórach, a w zbroi
Twarz ogromna xiężyca malutka się dwoi. 1165
O! jak ślicznie wśród ciszy w naturze rozlanej,
Lecieć z stęknionêm sercem do swojej kochanej!
I każdy przedmiot witać z przychylną pamięcią:
I wszystkie je wyścigać nieścignioną chęcią!
Wtedy to słodkie tony brzmiące przerywanie, 1170
Śpiew słowika, szmer wody i żab skrzekotanie,
W dzikiej, tęsknej, i żywej, i tkliwej muzyce,
Mówią ocknionym czuciom swoje tajemnice;
Wtedy to luby zapach co z kwiatów ulata,
Lekkiém tchnieniem roskoszy mgłę trosków odmiata, 1175
I dusza rozjaśniona, jakby ujście miała
W niebiosa swego twórcy, z kajdan swego ciała:
Wtedy matką Natura — wszystko z człekiem dzieli;

I wszystko się uśmiecha, i wszystko weseli:
Wtedy w schowanej szabli uraz zapomnienie, 1180
W pysznêm spojrzeniu — dobroć, w ustach — przebaczenie.
I tak to leciał Wacław — błogi, gdyby nagle —
Piorun rozdarł w tej chwili jego życia żagle,
Boby nim wicher świata miotać nie był w sile,
Chybaby szumiał wściekły po zimnej mogile, 1185
I takto mijał stepy — lecz świetne marzenie,
Co niém ćmi dzieci ziemi szczęścia upojenie,
Oh! zbyt krótkie! jak widmo wstaje Przypomnienie;
I budzi martwą przeszłość, i w wonne kotary
Szepcą dreszcz i niepokój zgromadzone mary. 1190
„Tak ją mdłą, słabą widział: a wszak bez obrony
„Więdnie pieszczotny powój — a wszak bez osłony
„Nie trwa tu słodki owoc — i cóż? ledwo wrócił,
„Ujrzał swój raj stracony, i zaraz porzucił!
„Dla czego? dla czczej sławy, której blask nie waży 1195
„Jednego uśmiechnienia ukochanej twarzy:
„Gdybyż przynajmniéj w los swój wierzyć miał powody;
„Lecz ledwo burza przeszła, już pewny pogody,
„Niepomny jak to gorzko czas zgryzotą liczyć,
„Płochy, wydarł się szczęściu co mogł odziedziczyć." 1200
Ah! dalej, prędzéj! lekko przez chwasty i rowy
Sunie koń wyciągnięty — a brzękiem podkowy,
Hukiem pędu, błyszczącą postacią rycerza,
Ockniónego wieśniaka pierwszą myśl uderza;

„Ha! ha!" — nim otarł oczy i serca mógł dowieść, 1205
Znikł rycerz, i zostawił o upiorach powieść.
I tak to leciał Wacław — szczęśliw, trwożny razem,
Śliczny, straszny — był wiernym śmiertelnych obrazem.

XV.

Do wrót wreszcie koń doparł swe piersi spienione;
I zarżał — nozdrza chłodząc, to w tę, to w tę stronę: 1210
Lecz chociaż xiężyc jasny, nie widać nikogo;
Ni giermek do strzemienia szybką skoczył nogą.
„Musi być bardzo późno — niech śpią — trosk nie czując —“
Tak myślał młody Wacław konia przywiązując;
I z tą żywą pociechą, w której serce tonie, 1215
Kiedy już bić ma wkrótce przy kochaném łonie,
I z tém świetném wejrzeniem gdzie kona obawa,
Jednym radości skokiem — u drzwi domu stawa:
Ah! ileż wdzięków, pieszczot, jemu się obudzi!
Chwila jeszcze, a będzie szczęśliwszym od ludzi, 1220
Od Aniołów — zastukał — raz — drugi — i trzeci —
Trzy razy czujne echo z odpowiedzią leci,
I milczy — to jedyny znak ruchu lub życia,
Który tam drzymiąc czekał rycerza przybycia;
Ni chodu spiesznych kroków, zgiełku w nagłej mowie, 1225
Ni światła — w ciemnej — cichej — zamkniętej budowie.
Oh! jakże sen ich twardy! Niecierpliwość radzi,
Że szabla jedném cięciem przez próg przeprowadzi —
Lecz tę gwałtowną radę musiał on odrzucić;

Wnosić JEJ niespokojność, żeby swoję skrócić? 1230
Raczéj niech w jego piersiach burz kończy się droga.
Byleby nigdy do niej nie doszła ich trwoga!
Jeszcze stukał lecz słabiéj — bo już w serca niebie,
Rosło anielskie czucie, zapomnienie siebie;
I wolnym odszedł krokiem — nieraz w pośród ciszy 1235
Zatrzymując się nagle — czy kogo nie słyszy?
Spojrzał na xiężyc w pełni — co jego postawę,
W czarnych, olbrzymich kształtach, obalał na trawę —
Jak słodko i spokojnie bieg swój jasny toczy!
Ah! bo na swoje słońce ma zwrócone oczy! 1240
Uchylił rycerz głowę; widzieć mu się marzy,
Jakby szyderski uśmiech w tej pyzatej twarzy.
I tak dumając smutnie, lub nie myśląc wcale,
W odmęcie sprzecznych uczuć, gdzie trwogi i żale,
Miłość, wspomnienia, szczęście, wszystko w zawiesze-
niu, 1245
Błąkał się w około domu śpiącego w milczeniu —
Co cichy, głuchy, martwy, i skarb drogi mieści,
Jak te zaklęte zamki Arabskich powieści.
Lecz cóż to? już w zupełnej nadziei utracie,
Postrzega ruch nareszcie — w sypialnej komnacie 1250
Widzi otwarte okno i lekka zasłona,
Co tam nocnym tułaczom na straż rozwieszona,
Z nieśmiałego wietrzyka płochliwie urąga,
Wypycha go z pokoju, i znowu go wciąga.

O! jaki luby ogień zbiegł rycerza żyły! 1255
A wszystkie blaski szczęścia do lic pospieszyły;
Jak tu szalonym myślom stawić się oporem?
Trzeba być cnót najczystszych, lub kamieni wzorem;
Nie był jednym, ni drugim — umiał walczyć w boju, —
Kochać, — być wiernym, — wdzięcznym — już Wacław
w pokoju. 1260

XVI.

Na nierozsłaném łożu, w żałobnej odzieży,
Rozciągnięta niewiasta uśpiona tam leży;
Ale jej snu twardego Wygoda nie pieści;
I jakby nagłą przerwą gwałtownych boleści,
Jeszcze w jej sinej twarzy cierpienie zostało, 1265
Choć spokojne, bez ruchu, wyprężone ciało:
I długie jej warkocze spadały w nieładzie,
Nie w takim, w jaki Miłośc śpiące wdzięki kładzie:
I smutnie się nadęła wysileniem tłusta,
Jakby się skarzyć chciała, tylko że jej usta 1270
Ścięte silniejszą władzą: a promień xiężyca
Co tę posępną postać migając oświéca,
Tak dziką tkliwość rzucał w przymrużone oczy,
Z jaką mizg upiorzycy, gdy kochanka zoczy.
To młoda śliczna Marja — rycerz przed nią stoi — 1275
Przyniósł jej ziemskie szczęścia — i czegoż się boi?
To młoda śliczna Marja? oh! jakże zmieniona!
Czy już się będzie robak tulić do jej łona?
Ale nie długo Wacław stał tam w podziwieniu,
Prędko się w nim duch oparł swego ciała drżeniu; 1280
Schyla się na jej lica, usta do ust łączy

I słodycz swego serca roskosznie w nie sączy.
„O! moja droga Marjo! ty zimna i niema —
„A dla nas już jest szczęście" — echo mówi: „nie ma",
„Marjo, kochana Marjo! w boju mnie widzieli — 1285
„Ojciec mnie z tobą spoi" — echo mówi: „dzieli".
Znowu ją pieści — cuci — z miłością stroskaną,
Coby się pocieszyła choć westchnień zamianą;
Jej głowa nagłym rzutem na piersi mu spada,
I w uderzonej zbroi jękiem odpowiada. 1290
Krzyczał — szukał ratunku — pusty dom przebiegał —
Tylko się marny zapęd po ścianach rozlegał!
Wraca — znalazł nadzieję — może czy nie zetrze
Mroku z jej czarnych oczu otwarte powietrze?
Lecz gdy silne rycerza unosi ją ramie, 1295
W jakież okropne ruchy jej kibić się łamie!
Nie z tą giętką lotnością co w dół nie przyciska,
Lecz w całém opuszczeniu świeżego zwaliska,
Zwieszone ręce, głowa, zdrętwiałe już nogi,
Czynią z niej przedmiot straszny, jemu jeszcze drogi. 1300
„Oh! wody! wody!" wołał z przeraźliwym wzraskiem,
Ogromne drzwi budynku wywalając z trzaskiem.

XVII.

W szarej chwastów zarośli lekki ruch się zdaje —
Rozsuwają się liście i czapka wystaje —
I głowa się podnosi — i stanęło ciało, 1305
Co tam w cichém czekaniu ukryte siedziało,
Młodego pacholęcia, co na świat płakało. —
I wzrokiem rozczulonym patrzy się w rycerza,
Co jego zwiędłą młodość podziwieniem zmierza;
Czy strachu, czy uroku, schowane tam siłą, 1310
Nie wiem — wyszło z gęswiny, i tak przemówiło.

„Niech rycerz drżącém sercem nie pragnie tak wody,
„Bo w niej zgasnął dopiero blask ziemskiej urody:
„To te obrzydłe maski, w swej zdradnej zabawie,
„Śliczne łono tej pani zatopiły w stawie: 1315
„A kto raz ludzi porzuci,
„Nigdy już do nich nie wróci.
„Wszyscy domowi — szlachta, panny, giermki, draby,
„Pobiegli w pogoń — drudzy, po xięży i baby;
„I dom teraz w cichości — lecz nim zorza znijdzie, 1320
„Mrucząc — kadząc — śpiewając — służba Śmierci przyjdzie,

„A kto im raz się dostanie,
„Zawsze już u nich zostanie.
„Zawsze — oh! smutne brzmienie, kiedy srogim losem
„Ciężkiej straty i żalu stanie się odgłosem!
„W miłości i przyjaźni, w każdej życia dobie;
„Tak często powtarzane, a prawdziwe — w grobie,
„Bo kto raz ludzi porzuci,
„Nigdy już do nich nie wróci.“

I podniósłszy na palcach swoją małą postać, 1330
Żeby się rycerzowi do ucha mógł dostać,
Szeptał, szeptał swą powieść — a w twarzy rycerza,
Czarna, czarniejsza chmura, coraz się rozszerza;
Aznów nagle, rozpaczą zaciemnione lica
Zapał gniewu i wzgardy jak piorun oświéca: 1335
Aż w nim powstała wrzeszcie ta Ponurość dzika,
Co patrzy w jeden przedmiot — w trumnę przeciwnika,
Kruszy najświętsze węzły w ogniu swego piekła,
Gdy i w najbliższém sercu trucizny dociekła!
Aż w nim powstała wreszcie ta Chciwość szalona 1340
Krwi — krzyku — dzwonów — płomień popsutego łona,
Co domowej niezgody rozpala pochodnię,
I w własném swojém gnieździe — zbrodnią karze zbrodnię!
Lecz jeśli takie były najwyższe w nim męki,
Zgon najdroższego szczęścia z błogosławieństw ręki — 1345
O! jak bezecnej Zemście co nim słusznie miota,

Towarzyszy okropnie Rozpacz i Zgryzota!
A wszystkie razem bole, w osłupiałém oku
Łączy myśl przeraźliwa — Niezmienność Wyroku!
Mniéj straszna w swém nieszczęściu, od wężów jedzona, 1350
Wzór najsroższych męczarni — postać Laokona,

XVIII.

I tak Wacław od razu wszystko w świecie traci,
Szczęście, cnotę, szacunek dla ludzi swych braci;
I już nigdy swej lubej ze snu nie obudzi,
Co mu miała zastąpić wszystkie cnoty ludzi, 1355
Której blask, czysty, słodki, anielskim promieniem
Fałsz przyjaźni — serc próżność — powłoczył złudzeniem;
I tak Wacław pozostał samotny w pustyni —
Jakże zniknienie Marji ciemną ją uczyni!
Długo on przy jej zwłokach stał w niemej żałobie, 1360
Jakby z kamienia posąg przy kochanki grobie;
Bo zgroza srogiej złości, i widok jej skutku,
Wygnały nawet z duszy rozczulenie smutku:
Tylko ten gorzki pomysł do żalu go wrócił,
„Ah! czemu ufał ludziom, czemu ją porzucił!“ 1365
I gdy w jej zbrzękłej twarzy widzieć mu się zdało,
Co tam w walkach ze Śmiercią mimo niej zmartwiało,
Pierwszy — ostatni wyrzut — i to z tym wyrazem,
Że ich szczęście, i siebie — zagubił z nią razem;
Wtedy dopiero serce odzyskało bicie — 1370
Twarz ukrył w obie ręce — i płakał jak dziécię!
Lecz nie długo — już serce zdradzone, pokłute,

Zepsuło się w truciznie przez jedną minutę;
Już duszy wprzód wyniosłej, zatknięte to godło,
Co wygnańców swych myśli w sromotę zawiodło: 1375
Czyż ten bujny młodzieniec już ziemi ohyda?
Ah! pytaj raczéj — na co dobroć się tu przyda?
Gdzie co czułe, szlachetne, tylko chwilę świeci —
Gdzie zgon starych rodziców korzyścią ich dzieci —
Gdzie chlubna miłość bliźnich, w udanej tkliwości, 1380
Cieszy się ich niedolą lub szczęścia zazdrości —
Gdzie rola wzniosłych chęci zawsze się nie uda,
Bo w śliczny welon Cnoty stroi się Obłuda —
Gdzie tylko jedna słodycz, — w wzajemnym zachwycie,
Serc wiernych, niezgadnionych zanurzyć swe życie. 1385

XIX.

W tym ciemnym ludzkich uczuć i posępnym lesie,
Dla jednych, czas powoli odrętwienie niesie;
Gubią listek po listku; aż w późnej jesieni,
Jak mszyste, głuche dęby stoją obnażeni.
Drugim — skwarem ich słońca zbite nawałnice, 1390
Rzucą z trzaskiem i grzmotem dzikie tajemnice;
I znów błyśnie pogoda — i czasem się zdaje,
Że weselsza zieloność po burzy powstaje —
Lecz kto się bliżéj wpatrzy, choć pozór jednaki,
Dostrzeże — czarne wewnątrz spalenizny znaki: 1395
A gdy w rażoném drzewie wicher rdzeń rozżarzy?
Któż pożar od piorunu gasić się odważy?
I tak bujna krzewina zniszczenie rozniesie,
W tym ciemnym ludzkich uczuć i posępnym lesie.
Co Wacław sobie w życiu może obiecywać, 1400
Trudnoby wytłómaczyć — i straszno zgadywać;
Na jego sercu ciemna, skrwawiona zasłona,
Dosyć — na cóż ją zdzierać z ranionego łona?
Wszystko on już postradał — i chyba to zyska
Że nie czas, ale płomień, zniszczy w nim zwaliska. 1405
To w krótkiém zamyśleniu korząc się przed Bogiem —

Z swym małym przyjacielem czyli nowym wrogiem,
Umarłe ciało nazad wnieśli do komnaty;
A xiężyc mglistym oczom pożyczył oświaty.
Tam Wacław raz ostatni posłanie jej mości; 1410
I czułém wyręczeniem bezwładnej Skromności;
Jej członki, włosy, szaty, w porządek układa,
Bo ciekawa złośliwość i w śmierci ogada.
Wtedy — z tęsknėm wejrzeniem na jej martwe lica,
W którém żałość rozstania, lecz i obietnica 1415
Prędkiego połączenia — z uwagą Rozpaczy,
Co każdy rys Nieszczęścia w pamięć sobie znaczy —
Wtedy dobywszy miecza co świsnął, a w cięciu
Srogim będzie, i w trupa zostanie ujęciu,
Wyszedł — i zaraz z twarzy wszelkie znikły bole; 1420
Skoczył na koń — a za nim usiadło pachole.
Lecz któż był ten człek mały z okiem zapłakaném?
Czy Duchem jego losu? Aniołem? Szatanem!
Czy szczérze drażni męki, lub smutek z nim dzieli?
Nie wiem — objął rycerza, i w czwał polecieli. 1425

XX.

Na ukraińskiej cerkwi błyszczą się trzy wieże;
A ukraińskie baby szepcą swe pacierze:
Biją we dzwony żaki, i zysk sobie krzeszą;
Ludzie dobrzy — czy pogrzeb, czy to chrzciny — spieszą:
Wewnątrz — kiry, katafalk i trumna — a w rzędy 1430
Blado się palą świece — czarno, straszno wszędy.
Czyjaż tam wzniosła postać, śród ciekawych grona,
Leży długim i martwym krzyżem rozścielona?
Czyjaż tam pierś rycerska w kurzawie się wala?
I z tą cichą pokorą, co się nie użala 1435
Choć i najsroższych kaźni ciężkie dźwiga brzemię,
W swej niemej pobożności jakby wbita w ziemię?
Blady — jak łysk od gromnic co mu na twarz wbiega,
Smutny — jak śpiew umarłych, co się tam rozlega,
Z poziomego zniżenia gdzie go wiara tłoczy, 1440
Jak robak świętojański świécą jego oczy.
Ah! to pana Miecznika siwa, nędzna głowa,
Niedawno żonę stracił — teraz córę chowa;
Na to huśtał kołyskę by w trumnie uśpili,
Na to jej woził lamę żeby całun-szyli. 1445
I dziwno — tak nieczułym zdał się na pogrzebie,

Jakby już dusza jego była z córką w niebie.
I takim był i potem — ni żalu, ni skargi,
Nikomu nie zwierzyły wypłowiałe wargi;
Ni łzów w hardém spojrzeniu nie było oznaki; 1450
Mniéj z ludźmi, więcéj z Bogiem, a zresztą — jednaki.
Codzień on w jednej porze chodził pokryjomu;
Lecz nim wydano hasła, powracał do domu.
Raz, i północ minęła, a Miecznik nie wraca;
I gdy patrząca Czujność nadzieje utraca — 1455
Gdy dziko grają trąby — a ze snu, jak z procy,
Rzucili się rycerze k'zemście lub pomocy —
Znaleźli go w cmentarzu; przy córki i żony
Przyległych dwóch mogiłach, klęczał nachylony:
Taż sama w ustach słodycz, a w czole sędziwość — 1460
Taż sama bladość twarzy, ale oczu żywość —
Czapka, wąsy, dla Polski straszydło na wrogi —
I żupan ten sam czarny — tylko że gdy trwogi
Odgłos z trąby wojennej dochodził daleki,
Nie porwał się do korda — już spał — spał na wieki. 1465
I cicho — gdzie trzy mogił w posępnej drużynie;
I pusto — smutno — tęskno — w bujnej Ukrainie.

OBJAŚNIENIA

DO

MARJI.

OBJAŚNIENIA.

No. 1, wiersz 31.

Minął już kozak bezdnie i głębokie jary

Na Rusi, ledwo nie w każdej wiosce, znajdują się źródła lub studnie osądzone przez pospólstwo za tak głębokie, że im dna brakuje; ale za to każda z tych otchłani wsławiona jaką nadzwyczajną powieścią, a czasem od Duchów strzeżona.

No. 2, wiersz 156.

Ten uśmiech, w którym może choć część zachwycenia
Z jakiém wybrani słyszą Cherubinów pienia.

Wyraz zachwycenia, który dla tego może tak jest ujmującym w pięknej twarzy, że jeszcze coś piękniejszego zwiastuje, nie pozwala utrwalić żadnym opisem swego ślicznego zapomnienia się; a tylko pędzel Rafaela, w obrazie Stej Cecylji, zatrzymać go potrafił w całym uroku, jakiemu się nikt prócz wyobraźni nie wpatrywał. Sta Cecylja, lubownica muzyki, wystawioną jest w tém malowidle śród narzędzi muzycznych, w chwili, gdy ją dochodzi odgłos Anielskiej harmonji; i niemasz słów któreby opowiedzieć umiały uczucie jakiém uderzona jej postać: zdaje się że jej dusza rozpierzcha się i żeni z każdym z tych słodkich dzwięków, kiedy wdzięczna skromność hamuje ją zamyśleniem że nie warta tak

niepojętego szczęścia, a śród roskoszy nieznanych jej sercu wkrada się smutek że już muzyka ziemska bawić ją przestanie. Największa prostota panuje w całym układzie tego obrazu, twarz nawet Stej Cecylji mniej ładna niż twarze niewiast w innych obrazach tego malarza, sama jedynie myśl gieniuszu świeci od wieków w tém szacownem płótnie i nieopisanym wdziękiem do siebie pociąga. Obraz ten najduje się w Bolonji, i jest policzony przez znawców w rzędzie najsławniejszych Rafaela, a co do swego poetycznego wrażenia, i mego widzi mi się, najpiękniejszy jaki wydało malarstwo.

No. 3, wiersz 218.

Podobna do owoców Umarłego Morza.

Wiele pięknych przyrównań czytać można w Angielskich poetach do tych szczególnych owoców które rosnąć mają nad brzegami jeziora Asphaltes, znanego pod imieniem Martwego Morza.

„*Like to the apples on the Dead Sea's shore,*
„*All ashes to the taste.*“
Byron. Harold's pilgrimage, Canto III.

„*Like Dead Sea fruits, that tempt the eye,*
„*But turn to ashes on the lips.*“
T. Moore. Lalla Rookh, I. 222.

No. 4, wiersz 232.

A że nad przepych świata i blasków pozory,
Widniejsze pióra białe zniżonej Pokory;

Wyrażenie to, stosowne do ducha religji chrześciańskiej, nie jest może niewłaściwém i co do sposobu

pod jakim się przedstawiają oku w znacznej wysokości, utwory dumy lub dowcipu człeka, sama nawet piękność natury, którą mu dojrzeć pozwolono. W podróży mojej na szczyt góry Mont-blanc, gdzie przez dwie godziny pobytu doznałem uczuć jakich już zapewne w życiu mojém nie doświadczę; w podróży tej straciłem żywy, z oczu i z myśli dziedzinę, na której panuje człowiek, i tylko z jego siedziby przedmioty białej farby, a te właśnie których swą władzą odmienić nie zdołał, rozróżnić się dawały: i tak, widoczne były jeziora Genewskie, Neuszatel, Morat, Bienne i t. d. jakby rozciągnięte na mroku żagle; kiedy domy, miasta nad ich brzegami stojące, barwy, blaski, ciemną mgłę tworzyły; podobnie, rozpoznać było można lodozwały (glaciers), kiedy łąki, lasy, góry nawet znacznej wyniosłości lecz niższego rzędu, w szary koło nich mieszały się tuman. Nic jednak wspanialszego i dzikszego jak widok z góry Mont-blanc; ale gdy różny zupełnie od znajomych widoków, inaczéj go sobie wyobrazić nie podobna, jak wystawując się uniesionym przez jakiego dobrego czy złego Ducha, w chwili gdy Bóg Chaos utwarzał. Wszystko co dziełem człeka znika przez swoją małość; tysiące gór olbrzymich z granitowemi szczytami lub śnieżnemi tarczami, niebo prawie czarnego koloru, słońce przyćmione, blask rażący od śniegu, rzadkie powietrze, a ztąd krótki oddech i szybkie bicie pulsu, nadludzkiém jakiemś czuciem i uczuciem przejmują śmiertelnika: i pewny jestem iż oprócz innych przyczyn, nawet dla niezmiernej różnicy tego dziwnie górnego widoku a słabości naszych zmysłów, niktby go długo znieść nie potrafił. Niech to wspomnienie nadzwyczajnego zajęcia

jakiego doświadczyłem na tej ogromnej i odosobnionej górze, nie będzie powodem żadnemu z naszych młodych wędrowników do przedsięwzięcia tej podróży; oprócz wielkiego bardzo trudu i niebezpieczeństw koniecznie do tego zamiaru przywiązanych, jeszcze jego pomyślny skutek od wielu obcych nam okoliczności zależy. Trzy dni pogody bez najmniejszej chmury i nie zbyt rozmiękłe śniegi, prawie potrzebniejszą pomocą, niż najcierpliwsza wytrwałość i najmocniejsze piersi; bez tych jednak warunków tylko na zgubę narazić się można, i byłoby najszkodliwszym uporem nie słuchać ostrzeżeń przewodników, którzy wszędzie w Szwajcarji a szczególniéj w Chamouni pełni są odwagi i rozsądku. —

No. 5, wiersz 336.

I mignie mu pod oczy święconym obrazkiem;

Zdarzyło mi się widziec szczególną w tym rodzaju pamiątkę. Na szabli tureckiej, gdzie wzdłuż klingi wypisane były zdania z Alkoranu, znajdował się wyryty przy rękojeści wizerunek N. Panny z napisem polskim gockiemi literami. Szabla ta należała do jednego Anglika, który ją we Włoszech nabył; dalekie więc a zapewne nieraz i krwawe, odbywała podróże. Szkoda tylko iż w napisie nie było ani roku, ani przez kogo zdobyta.

No. 6, wiersz 470.

Suto stoły zastawić — nie szczędzić korzeni.

O guście przodków naszych w korzennych zaprawach, wiele ciekawych opisów czytać można w szacownym i zajmującym zbiorze: Pamiętniki o dawnej Polsce przez Juliana Niemcewicza.

No. 7, wiersz 829.

A ktoby się miał straszyć tatarskiego tańca.

„Od Tamerlana podane prawidła zachowywali Ta„tarzy i to nazywali nasi dziadowie tańcem tatarskim.“ Czacki o litewskich i polskich prawach k. 235 przyp. 111.

No. 8, wiersz 873.

Co śród gęstych zarośli, niedościgłe szlaki
Tłoczą na wszystkie strony, dla mylnej poznaki.

„Stepy te wysoką okryte trawą, nie można jechać „przez nią by jej nie stratować; dla niepoznania więc „toru i śladów używają Tatarzy następującego wy„biegu. Wnosząc że ich jest 400, dzielą się na cztery „części po sto, część jedna idzie na zachód, druga na „wschód, trzecia na południe, czwarta na północ, każda „część uszedłszy półtorej mili dzieli się na cztery czę„ści, postępuje daléj i znów się dzieli, tak że na końcu „nie będzie jak po 10 lub 11 w hufcu, wszyscy jadą „sporym kłusem: kiedy są postrzeżeni, każdy kufiec „ucieka w swą stronę; tak trafnie kierując się przez ste„py dochodzą do przeznaczonego miejsca, jak najlepszy „żeglarz kompasem swoim lepiéj kierować się nie może. „Pędzący za nimi kozacy, trafiając na labirynt potrato„wanych przez nich ścieszek, nie wiedzą w którą stronę „gonić za nimi.“ Opisanie Ukrainy polskiej przez Beauplan, w Pamiętnikach o dawnej Polsce J. Niemcewicza Tom III. karta 373.

No. 9, wiersz 912.

Czy strony natężone tkliwych władz wysnuciem,
Tknięte ręką Nieszczęścia, zabrzmiały przeczuciem.

Granice władz naszych umysłowych bez wątpienia ścieśnione są niezmiernie, w stosunku nieskończoności, która nas otacza, ale gdy to czego pojąć nie możemy za niepodobne uznamy, tak trudno i mało pojmując staniemy się podobni do tego sceptyka z komedji, który dla tego tylko wierzył że żyje, że się mógł w każdej chwili pomacać. Nie będę ja tu rozprawiał, na obronę tych dwóch wierszy, jak to być może ażeby ludzie przewidywali czasem przyszłe i odległe zdarzenia, lub czy sprawdzenie zwłaszcza szkodliwego nam przeczucia właśnie od ufności w nie pochodzi; nie będę przywodził znajomych przykładów z dawnej i nowożytnej historji: wspomnę o szczególnym i bliskim nas wypadku, który się wiąże z nieodżałowaną dla kraju stratą. Sławny Tadeusz Czacki, niepospolity licznym zbiorem swoich wiadomości, rzadszy jeszcze zupełném zapomnieniem siebie dla publicznego dobra, który w tylu sercach istnieje hołdem najczystszej wdzięczności, oświadczał nieraz swoim przyjaciołom iż ważniejszych okoliczności swego życia zawsze się wprzód przeczuciem dowiadywał; śmierć nawet jego poprzedzona była niepojętém ostrzeżeniem. Na kilka dni przed swoją krótką chorobą i zgonem upewnił domowników, iż będąc w swoich pokojach, zdawało mu się, że widział umierającego swego przyjaciela i krewnego Generała Karwickiego, który go wołał do siebie; jakoż dziwnie i okropnie sprawdziły się te słowa, gdy w kilka dni przyszła wiadomość o śmierci

Generała Karwickiego mieszkającego o mil kilkadziesiąt, a wkrótce i Czacki poszedł się połączyć z wzywającym go przyjacielem. Lecz jakże wierzyć w podobne powieści, i nie sprowadzić uśmiechu na twarz oziębłą rozwagi? Fizyków i Metafizyków o pozwolenie prosić wypada; do których powiedziećby można z Shakspearem: „*There are more things in heaven and earth, than are dreamt of in our philosophy.*“ — *Są rzeczy na ziemi i w niebie, o których nam się ani marzy w naszej filozofji.*

No. 10, wiersz 984.

Bór w lewo — strumień w prawo — a oni w półkole.

„Tatarzy radzi się potykają w polu równém, pułki „swe w około zgromadziwszy szykiem zakrzywionym, „który pospolicie ludzie rycerscy marsowym tańcem zo„wią, a na pierwszém potkaniu tak gęste strzały pu„szczają jako najgęstszy grad.“ Kronika Gwagnina, tłómaczenia Paszkowskiego karta 593.

„Tatarowie zaś zwykłym tańcem, a na kształt pół„miesiąca zakrzywionym szykiem, różnie się rozstrzelili.“ Kronika Marcina Stryjkowskiego karta 345.

No. 11, wiersz 1054.

Czemuż choć jednej strzały nie mieli w kołczanie,
Coby jadem jaszczurki utkwiła się w ranie.

„Tatarzy strzały swe jadem jaszczurczym napu„szczają.“ Paszkowski, dzieje tureckie karta 15. patrz Słownik Lindego pod wyrazem jaszczurka. Nieznalazłszy bowiem tej xiążki w Bibliotece Uniwersytetu

warszawskiego, nie byłem w sposobności sprawdzenia tego wypisu.

No. 12, wiersz 1318.

Wszyscy domowi — szlachta, panny, giermki, draby.

Drab, żołnierz pieszy: p. Słownik Lindego.

No. 13, wiersz 1351.

Mniej straszna w swém nieszczęściu, od wężów jedzona,
Wzór najsroższych męczarni — postać Laokona.

Powszechnie wiadoma historja, a wielu z moich rodaków widziało sławny posąg, do którego stosuje się to przyrównanie.

Drukiem F. A. Brockhausa w Lipsku.